



winieta

PISMO BIBLIOTEKI RACZYŃSKICH NR 2 (79) 2020 ISSN 1509-6343

w numerze:

Traktat o wychowaniu królewicza

Smakowita kolekcja

Admirał Józef Unrug

Wojenne losy Andrzeja Wojtkowskiego

Iłta i Łucja Danielewska

Mieszkanie-Pracownia K. Iłtakowiczówny

Biblioteka w czasie pandemii

Posnaniana 2019

Izabella 2019

Nowości wydawnicze

W ramach XXVIII Spotkania z Arcydziełem w Bibliotece Raczyńskich zaprezentowany został traktat pedagogiczny *De institutione regii pueri*, powstały w 1502 r. dla Władysława II Jagiellończyka z inicjatywy jego matki Elżbiety Rakuszanki. Tematem utworu jest humanistyczne wychowanie królewicza do godnego pełnienia roli władcy. Oryginał traktatu znajduje się w Bibliotece Austriackiej w Wiedniu. Egzemplarz Biblioteki Raczyńskich to osiemnastowieczny odpis z ozdobnymi inicjałami. Prezentacji towarzyszył wykład prof. Piotra Olińskiego, edytora traktatu *De institutione regii pueri*. Sponsorem Spotkania z Arcydziełem jest PKO Bank Polski.



Jak wychować idealnego władcę?

Uwagi o traktacie

De institutione regii pueri

prof. dr hab. Piotr Oliński
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

Stosunkowo popularne w Europie w okresie średniowiecza były utwory określane jako *principum specula*, znane już wcześniej w cesarstwie bizantyńskim, a także w starożytnej Grecji i w starożytnym Rzymie. Kierowano je zwykle do władców, były to bowiem quasi-podręczniki zarówno z zaleceniami dotyczącymi sposobu sprawowania władzy, jak również ze wskazówkami odnoszącymi się do sposobów wychowania przyszłych władców.

TRAKTATY PEDAGOGICZNE W EUROPIE

Za jeden z pierwszych utworów tego rodzaju w okresie europejskiego średniowiecza uznaje się dzieło Seduliusza Szkota *Liber de rectoribus Christianis*, którego czas powstania wciąż jest dyskutowany (ca. 870?), zaś za najbardziej znany uchodzi *Il principe* Mikołaja Machiavellego, wydany po raz pierwszy w 1522 r. W Królestwie Polskim nie mamy zbyt wielu traktatów tego rodzaju. Elementy natury dydaktycznej można odnaleźć w licznych kronikach kierowanych do władców polskich, w tym w najstarszej z nich – kronice Galla Anonima. Najwcześniejszym przykładem takiego dzieła w Polsce są zachowane fragmenty traktatu z około 1467 r., przeznaczonego dla królewicza Kazimierza, syna Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki. W rzeczywistości był on czymś w rodzaju swobodnej kopii z listu o treści pedagogicznej zredagowanego przez Eneasza Sylwiusza Piccolominiego z 1443 r. i przeznaczonego dla księcia Zygmunta austriackiego. Nie wiadomo, kto sporządził ten utwór. Według niektórych był to Stanisław Szydłowiecki, ochmistrz synów królewskich od 1467 r. Traktatem tego rodzaju, będącym samodzielnym obszerniejszym dziełem, jest *De institutione regii pueri*. To utwór dosyć typowy w swoim gatunku, a jednocześnie intrygujący ze względu na wiele zagadek z nim związanych.

Problematiczne jest miejsce, w którym redagowano ten utwór, co wiąże się z dyskusją na temat tego, kto jest rzeczywistym autorem traktatu. Kolejny problem to liczba zachowanych egzemplarzy i kopii traktatu. Publikacje dzieła powstały w oparciu o egzemplarz przechowywany w zbiorach Austriackiej Biblioteki Narodowej pod sygnaturą 10573. Jako pierwszy na traktat ten wskazał

ksiądz Sebastiano Ciampi z Pizy (1769-1847) w obszernej bibliografii rejestrującej różne dawne pisma związane z Polską i Rosją. Nie znał on oryginału, opierał się na informacji otrzymanej listownie w 1822 r. od Józefa Sierakowskiego, który podał tytuł dzieła, zaznaczył, że było sporządzone po łacinie pięknym pismem i liczyło 140 stron. Ten egzemplarz, który Sierakowski widział w Neapolu, nie wydaje się tożsamy z egzemplarzem z Wiednia.

DE INSTITUTIONE REGII PUERI

Twierdzenie, że traktat został zredagowany w imieniu królowej Elżbiety Rakuszanki, żony Kazimierzy Jagiellończyka, jest rzadko akceptowane przez badaczy. Za autorów oprócz królowej Elżbiety byli uznawani Kallimach i wielu innych Włochów, jak Aynolf Thedaldi, Pandolf Collenuccioni, Ottavian de Guccio de Galvani, Jan Sylwiusz Siculus, Constanz Claretti de Cancelleri. Wspominało też Bernardusa Gallusa z Zadaru, a także Polaków, np. Erazma Ciołka i Macieja Drzewickiego. Wreszcie ostatni wydawcy źródła domyślają się autora w skądinąd mało znanym Piotrze Macieju Camercie z otoczenia Władysława węgierskiego. Traktat mógłby więc zostać spisany w Budzie, a nie w Krakowie, ale nie sposób wykluczyć jego powstania na przykład jeszcze w Italii. Dyskutowana jest również dokładniejsza data jego powstania. Traktat musiał zostać napisany przed 30 sierpnia 1505 r., jest to bowiem dzień śmierci królowej Elżbiety. Ponieważ traktat jest kierowany do jej syna Władysława, króla węgierskiego i jego żony Anny de Foix w związku ze spodziewanymi narodzinami syna, kolejną datą *ante quem* jest moment narodzin tego dziecka. Doszło do nich 23 lipca 1503 roku. Można spekulować, od kiedy wiadomo było o ciąży Anny. W traktacie wspomniano również, że rok wcześniej zmarł Jan Olbracht. Zgon ten nastąpił 17 czerwca 1501 r. Można więc przypuszczać, że traktat był spisywany po czerwcu 1502, raczej nie w roku 1503. Datuje się go więc zwykle na koniec 1502 r.

ZALECENIA DLA KRÓLEWICZA

Przedmiotem dyskusji była również struktura treści tego traktatu. Tekst zachowany w rękopisie austriackim jest napisany bez podziałów na części. Niektórzy wydawcy i tłumacze tego dzieła podzielili jego treść na rozdziały i nadali im własne tytuły. Jednocześnie uznawali, że jest ona dosyć chaotyczna. Wydaje się jednak, że autor w zasadzie przyjął w tym dziele porządek chronologiczny. Wstępna część zawiera uzasadnienie kompetencji wychowawczych Elżbiety Rakuszanki jako matki dwanaściorga dzieci (tutaj zdarzył się autorowi błąd dotyczący rzeczywistej liczby potomstwa królowej), w tym sześciu synów, z których – jak zapisano w traktacie – trzech zostało królami, jeden wielkim księciem i jeden kardynałem. Dalsze uwagi dotyczą karmienia niemowlęcia. Królowa zalecała, aby dziecko było karmione piersią mamy. Podkreślone zostało również znaczenie przyszłej mamki.

Dopiero dalej następują zalecenia dotyczące trybu nauczania, porządku dnia dziecka, koniecznych lektur, a następnie związane z jedzeniem i piciem, relacjami z otoczeniem oraz zachowaniami przynależnymi władcy. Treść traktatu dotyczy więc następujących po sobie kolejno etapów rozwoju dziecka.

Duży nacisk w traktacie kładziono na naukę języka, co było zgodne z duchem epoki odrodzenia. O kształtowanie prawidłowych nawyków językowych należało dbać już w wieku niemowlęcym. Między innymi dlatego tak ważny był wybór opiekunki dziecka oraz przyszłego nauczyciela. Oprócz jak najlepszego wykształcenia nauczyciel taki powinien się również cechować odpowiednim charakterem. Ważne bowiem było, aby królewicza uczyć dobroci. Język królewicza powinien kształtować się nie tylko przez otoczenie, ale również przez odpowiednią lekturę. Na pierwszym miejscu został postawiony Wergiliusz. Chodziło tu oczywiście o język łaciński. Wydaje się, że w tym fragmencie autor traktatu zdradził swoje pochodzenie pisząc, że podobnie jak Homer u Greków, tak Wergiliusz „u nas (*apud nos*) cieszy się wielką sławą”. Sformułowanie „u nas” musi odnosić się do Italii. Nieco dalej zalecano również listy Cyncerona, których lektura uczyła stosowania zwięzłości, a jednocześnie wyrażania ważnych myśli. Z dzieł Cyncerona polecane były ponadto *Rozmowy tuskulańskie*, jednak w większym stopniu ze względu na styl tego utworu aniżeli na przekazywane tam myśli. Ważną lekturą miała być *Cyropedia* Ksenofonta, tytułowana również *Wychowaniem Cyrusa*. Dzieło to zalecał Kallimach. W tym utworze najtrafniej w opinii autora traktatu zostało ukazane, jaki powinien być dobry król.

W traktacie polecano również ćwiczenia fizyczne, jednak przy zachowaniu odpowiednich proporcji. Jako formę rozrywki wskazano na jakąś odmianę gry w warcaby (*calcolorum ludus*). Chodziło o to, aby chłopiec skupiał się na zabawach, w których ćwiczyłby umysł, a nie zdawał się na przypadek. Najwyraźniej miało to również strzec przyszłego władcę przed uprawianiem hazardu. Ważnym ćwiczeniem były polowania, które pozwalały opanować rzemiosło rycerskie, uczyły wytrzymałości i odporności na niewygody, trudy, złą pogodę, pozwalały też rywalizować. Chłopiec miał w nich uczestniczyć w dni świąteczne i ograniczać się do zwierząt, które można było upolować bez narażania się na niebezpieczeństwo.

ZNAĆ JĘZYKI I NIE MIESZAĆ WINA Z WODĄ

Wiele miejsca poświęcono temu, jak królewicz powinien obchodzić się ze swoim otoczeniem społecznym, które stanowiło przede wszystkim środowisko dworskie, czasami poszerzone kontakty z poddanymi spoza dworu. Funkcjonowanie w warunkach dworskich wymagało wielu określonych umiejętności. Autor traktatu starał się wskazać na schematy zachowań, które mogły być pomocne w zdobywaniu sobie posłuchu i szacunku w takim środowisku. Składały się nań zarówno zewnętrzne przejawy postępowania, jak i określone cechy charakteru. Królewicz powinien przyzwyczaić się do uprzejmości wobec innych, ukazywania się z uśmiechem na twarzy, przyjaznym reagowaniem na drobne podarki. Sam również powinien być hojny. Przy tej okazji, co ciekawe, autor traktatu podkreślał, że ważna jest hojność wobec literatów. Królewicz powinien być słowny, stateczny i prawdomówny, a nadto umiarkowany w reakcjach zarówno na sukcesy, jak i niepowodzenia oraz zdecydowanie stroniący od pochlebców. Wszystko to powinno w prawidłowy sposób wpływać na królew-

ski majestat. Żeby wykształcić te cechy, ważny był odpowiedni dobór otoczenia. Istotną rolę w tym otoczeniu mieli odgrywać ludzie starsi, którzy uczyli rozsądku i roztropności. Symptomatyczne są wskazówki nakazujące, aby królewicz starał się być uprzejmy wobec cudzoziemców. Można się domyślać, że pobrzmiwały tu życzenia autora traktatu szukającego przychylności na obcym etnicznie dworze królewskim.

Sporo miejsca zajęły również uwagi na temat umiarkowania w jedzeniu i piciu. Niektóre z nich mogą być szokujące dla współczesnych rodziców, jak na przykład zezwalanie dziecku na spożywanie białych win (win czerwonych zakazywano, gdyż miały bardziej szkodzić ciału). Niemniej jednak podkreślano w traktacie wyraźnie, że wino to szkodliwy trunek, a chwalona była abstynencja i trzeźwość. Ciekawy jest w tym fragmencie wątek, w którym autor traktatu wzbronił się przed zaleceniem mieszania wina z wodą (co byłoby dla chłopca dobre), gdyż – jak napisał – „u nas uchodziło to za występki” (*hoc apud nos scelus putaretur maximum*).

Ciekawe są wreszcie zalecenia dotyczące nauki języków obcych. Jak zauważył autor traktatu, języki polski, francuski i węgierski przyszły władca musi znać. Natomiast powinien się nauczyć włoskiego i niemieckiego. Traktowana jako oczywistość znajomość języka francuskiego wynikała najpewniej z pochodzenia matki królewicza, Anny de Foix. Język polski był językiem ojca – Władysława, syna królowej Elżbiety, dla którego przeznaczony był ten traktat. Językiem węgierskim posługiwano się w kraju, w którym miał w przyszłości panować syn Władysława. Dodatkowym językiem miał być włoski, co można potraktować m. in. jako wskazówkę na temat pochodzenia autora traktatu, ale zapewne wynikało również z ogólnego klimatu kulturowego epoki renesansu i popularności języka włoskiego. Równie ważny okazał się niemiecki ze względu na kontakty z krajami tego obszaru językowego.

Z NEAPOLU DO POZNANIA?

Warto na zakończenie wrócić do rękopisów tego traktatu. Oprócz egzemplarza z Narodowej Biblioteki Austriackiej udało się odnaleźć nowożytną kopię tego traktatu zachowaną w zbiorach Biblioteki Czartoryskich w rękopisie nr 1640, gdzie oprócz tego traktatu, przypisywanego błędnie Kallimachowi, znalazło się wiele innych pism. Znana też jest dziewiętnastowieczna kopia sporządzona już w celach naukowych, a przechowywana w zbiorach Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Okazuje się, że istnieje kolejny odpis tego dzieła, również nowożytny, który znajduje się w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu. Rękopis ten wymaga jeszcze dalszych badań, ale wiele wskazuje na to, że jest to ten sam egzemplarz, który był poszukiwany bezskutecznie w XIX w. Zwraca uwagę, że podany przez księdza Andresa Ciampiego tytuł dzieła jest najprawdopodobniej sporządzony na podstawie karty tytułowej egzemplarza z Biblioteki Raczyńskich. Zwraca również uwagę podana liczba stron – 140. Egzemplarz wiedeński liczy ich 138, stronica 139 jest już wewnętrzną stroną oprawy. Natomiast egzemplarz poznański ma 140 stron. Wydaje się więc, że nieznaną jeszcze drogą egzemplarz, który w 1822 r. w Neapolu opisywał J. Sierakowski, trafił właśnie do Poznania.

Ilustracje z traktatu *De institutione regii pueri*, ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich.



Smakowita Kolekcja (II)

Aleksander Przybylski
TVN24

Czasami w siermięgę zaplącze się jakaś złota nić. Wśród osobliwości kuchni PRL znajdujemy na przykład butelkę Heidsiecka lub Cliquot, którą można było zamówić w hotelu Beskid w Nowym Sączu. W tym samym mieście w Panoramic serwowano prawdziwą hiszpańską cavę. Restauracja Zamkowa na Pieskowej Skale szczerze przyprawiała potrawy szafranem. Łososia w galarecie z cytryną zamówić mogliśmy w białostockiej restauracji Cristal trzeciej kategorii. Niekiedy pojawiała się pomarańcza podawana na talerzyku z nożykiem, aby klient mógł rozkoszować się zapachem obieranego własnoręcznie owocu. Gdzieś można było napić się kompotu z liczi lub mango, pal sześć że z puszk.

EGZOTYKA NA POLSKIM TALERZU

Swoją drogą myliliby się ten, kto uważa, że kuchnia azjatycka zawitała nad Wisłę wraz ze studentami z Wietnamu i otwartym u schyłku lat 80. barem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej przy Senatorskiej w Warszawie. Dalekowschodnimi smakami Polacy raczyć mogli się już w połowie lat 70. Fakt, że w paru zaledwie miejscach. Ślady azjatyckich dań znajdziemy w jadłospisach gdańskiej restauracji Pod Żurawiem i koszalińskiej Tawerny. Nieprzypadkowo są to lokale z Wybrzeża. Bliskość dużych portów to także dostępność egzotycznych produktów. Niewykluczone, że jakimś marynarzowi worek curry spadł ze statku albo doker puścił w obieg paczkę grzybów mun i w ten oto sposób pomysłowy kierownik zakładu gastronomicznego mógł urozmaicić menu swego przybytku. I tak Pod Żurawiem można było zamówić zupę sukiyaki za 11 złotych (czyli w cenie flaków z bułką), a na drugie do wyboru: kurczę Cien-Sien Dzi, wieprzowinę Ku To Zu albo cielęcinę Tien-Sin. Dzisiaj nie tylko trudno odgadnąć, jakie to były właściwie potrawy (poza jedną zupą sukiyaki), ale także pozostaje kwestią otwartą, na ile dania przypominały japońsko-chiński oryginał. Można mieć co do tego wątpliwości, skoro barani Bombaj Curry z ryżem podawano w towarzystwie grzybków z octu i modrej kapusty. Curry dodawane do sosów służyło także kucharzom w restauracji Gryf w Gryfowie Śląskim, którzy przyprawiali nim pieczarki i tuńczyka. Poza tymi trzema lokalami jedyna obecność azjatyckich produktów w kartach przejawia się w chińskiej herbatce i okazjonalnie chińskiej brandy podawanej na przykład w warszawskim Grand Hotelu. Chyba że za danie japońskie uznamy... śledzia po japońsku, który należał do najpopularniejszych przystawek doby PRL. Występował on w rozmaitych wariantach, raz z ziemniakami, innym razem z groszkiem lub jabłkiem, zawsze jednak z cebulą i majonezem. Wybitnie japońska potrawa. Lektura przystawek w jadłospisach J. Szkopka może wrażliwego czytelnika wprowadzić w stan hipnozy. W niemal każdej knajpie listę otwierają śledzie w rozmaitych zalewach i sałatka włoska, potem idzie jajo w majonezie, dalej befszytk tatarski lub ostryga po polsku. Czasami zimny drób lub zimny kotlet, no i nieodzowne galarety rybne lub mięsne. Jeśli francuska kuchnia wykształciła wielu znakomych sosjerów, to Polska Ludowa całe zastępy mimowolnych galaretników. Chyba nie było takiego produktu, którego ówczesny kucharz nie potrafiłby podać w galarecie. Zimny bufet przystawkowy poszerzano czasami o gotowe kanapki, zwłaszcza w lokalach nastawionych na ruch turystów albo pracowników pobliskich zakładów. Przeważnie były to butersznyt z serem albo serwolatką.

WYKWINT PRL-U

Scena z serialu *Alternatywy 4*, w której podпиты kelner oferuje do centowi Furmanowi indyka na tysiąc i jeden sposobów, nie była wcale odległa od rzeczywistości. To znaczy, owszem, kelnerzy bywali zawiani, ale Bareja uchwycił coś znacznie ważniejszego. Otóż komponując menu ówczesni szefowie kuchni zachowywali się jak trzmiele w szczycie kwitnienia lawendy. Jeśli udało im się zorganizować interesujący produkt (dajmy na to kilkadziesiąt kilogramów fasolki szparagowej albo paprykę konserwową), to tracił zainteresowanie w poszukiwaniu innych. I dodawali go, często bez sensu, do każdego dania jako dodatek. Docent Furman jest bombardowany indykiem w słynnej Kongresowej. Jeśli zajrzymy do jadłospisu z zimy 1973 r., to okazuje się, że coś było na rzeczy. Goście lokalu w Pałacu Kultury mogli zamówić kurczaka po wiedeńsku z ananasem i brzoskwinią, kurczę tabaka z ananasami z brzoskwinią oraz kurczę na szpadce z ananasem i brzoskwinią. Widać, że ktoś dorwał się do puszek. Swoją drogą ananas i szpadka były nieodzownymi rekwizytami (bo ananas w tym ujęciu to już nie owoc, tylko właśnie emblematyczny rekwizyt) tego, co nazwać można PRL-owskim wykwentem. Był on rozpaczliwą próbą utrzymania przedwojennych standardów kuchni międzynarodowej. Rozpaczliwą, bo skazaną w gospodarce niedoborów na porażkę. Gdy Escofier chciał mieć trufle albo wodę różaną, to ją sobie kupował. A kucharz z Grandu w Sopocie miał do dyspozycji co najwyżej homara z puszk. W efekcie luksus i wykwent przejawiały się w ersatzu takim jak wspomniane szpadki, płonące kabanosy i bifstek na grzance. Grzanki to w ogóle odrębny temat. Urosły one do miary lukullusowego atrybutu, który przez samą swoją obecność windował zwykłe danie do poziomu haute cuisine. Ciekawe, że za wykwentny artykuł uchodziły przez pewien czas pieczarki. Zanim jeszcze aktywność badylarzy doprowadziła do zalanania rynku tymi grzybami, występowały one w dobrych lokalach jako samotna, lecz kosztowna zakąska. Podsmażona na maśle, posolona i w cenie wołowego tataru. Niepowodzenia w przyrządzeniu klasyków kuchni europejskiej rekompensowano sobie nadając potrawom barokowe nazwy. Nic nie mogło być proste, wszystko musiało być jakieś. Ze swadą erotomana gawędziarza kucharze wymyślali takie specjały jak herbata maharadża, lody afrykańskie, napój alpejski, paluszki narzeczona, śledzie poszukiwaczy złota, cocktail tęczy, pieczarki po baskijsku, kawy po kapitańsku, po ormiańsku, po szwajcarsku, po węgiersku, jabłka rajskie, puchar Hawana, rarytas z odyńca, jądło szatańskie i wiele innych. Wspomniany poprzednio śledź po japońsku też jest przejawem tej choroby, bo tak jak mozartowski Tamino, japoński to on jest tylko z nazwy. Gościom restauracji pozostawało mamrotanie tych nazw, które skrywały zgoła co innego, niż obiecywały. Malakka – szeptał zmysłowo Wiktor Herman siedząc na zasypanym śniegiem Pomorzu. A propos dalekich portów, to zgoła inaczej sytuacja wyglądała na statkach pasażerskich. Z kosmopolitycznej kuchni słynął Batory, zarówno MS jak i TSS. Luksus dostępne na tym liniowcu urosły do legendy. Z jadłospisów Szkopka wynika, że wieczór kapitański, czyli ostatnia kolacja na Batorym przed dobieciem do portu, przez lata obowiązkowo składał się z homara na zimno i zupy żółwiowej. Na co dzień też jadano nieźle, bo pasażerowie mogli spożywać na przykład: cytrusy, świeże ananasy, bliny z syropem klonowym, chłodnik czereśniowy, wędzonego łososia, kawior z cytryną, mózdzek cielęcy demi-deuil, certę smażoną w sosie Verdi, consommé Picard, krem szparagowy z groszkiem ptysiowym, chłodnik porzeczkowy, filet z buławika gotowany w jarzynach, perlicę z rożną w sosie cumberland, bakłażany duszone z cebulą, sielawę w sosie pomidorowym i dla dopełnienia tej rozpusty... najprawdziwsze płatki cheerios na mleku.



PALUCHY PANA WOŁODYJOWSKIEGO

Bywały lokale, które miały aspirację, by wskrzeszać dania kuchni staropolskiej. Choć oczywiście więcej było w tych próbach Cwierzakiewiczowej i przedwojennej Adrii niż *Compendium Ferculorum*. Apogeum serwowania tych wszystkich żurów, szczupaków na szaro, sandaczy po polsku i giczy cielęcych przypadła na początek lat 80. Bóle fantomowe i nostalgia za utraconą II RP dają wtedy o sobie znać z coraz większą siłą. Rekordy oglądalności bije wówczas serial *Kariera Nikodema Dyzmy*, niby krytyka sanacyjnej Polski, ale przecież wiadomo, że pod jej płaszczkiem można było pokazać życie wyfraczego beau monde'u. Kilka lat później generał Jaruzelski zacznie bawić się w rekonstrukcje historyczne z udziałem husarii i zezwoli na umiarkowany kult marszałka Piłsudskiego. Szczególny rodzaj kuchni retro w PRL-owskim wydaniu oferowały karczmy i restauracje, które usiłowały nawiązać do idiomu szlacheckiego i chłopskiego w kuchni. Czyniły to zresztą, nie mając bladego pojęcia o tym, czym ta kuchnia w istocie była. Powszechna jest opinia, że koryta obfitości i zrazy husarskie w chlebie to wymysł lat 90. Polski konsument chcąc odreagować socjalistyczną urawniłowkę i biedę miał wtedy do wyboru rzucić się na hamburgery i pizzę albo odwiedzić chatę z bali i zamówić dzika z pieczonym jabłkiem w pysku.

To wszystko prawda, ale fantazmat swojskiego rogu kulinarnej obfitości narodził się znacznie wcześniej. Zabawne, jak obywatel socjalistycznego bądź co bądź państwa dali nura w świat (wyobraźonej, ale zawsze) sarmackiej kuchni. Nie do przecenienia we wzmacnianiu tych potrzeb były popularne filmy historyczne: najpierw *Krzyżacy* Forda, potem zaś *Pan Wołodyjowski* i *Potop* Hoffmana oraz ich telewizyjne mutacje. W jadłospisach wielu lokali pojawiały się wówczas takie kurioza jak napitek i biszkopcik pana Zagłoby, sernik Oleńki, deser Jagny, torcik hajduczka, paluchy pana Wołodyjowskiego (?!), borel w sosie wołodyjowskim, kurczak po kasztelańsku i mikstura szambelańska. Wszystkie te wynalazki muszą jednak ustąpić przed specjałem serwowanym w Karczmie Słupskiej w Katowicach w roku 1980. Była to wołowina „Kmicic ją jadł”. No to widocznie mu nie smakowała, skoro zostawił. Andrzej Kmicic wulgę Babinicz dał także imię jednemu z lokalnych browarów oraz zajazdowi w Siemiatyczach. Trafił również do przeraźliwej rymowanki będącej wątpliwą ozdobą

menu Zajazdu Kurpiowskiego w Myszeńcu. Oto próbka: *Gdy Kurpie pod Myszyńcem ze Szwedem walczyli Andrzeja Kmicica łososiem raczyli. Piwem i miodem toasty spełniali, a skrybowie w księgach to zanotowali. Wraz z szumem drzew puszczy myszyńskiekiej Was pozdrawiamy i do jedzenia naszych potraw szczęście (sic!) namawiamy.*

PRZY BIESIADZIE NIE MYŚL O SWADZIE

Głupawe wierszyki będące kontaminacją Kolberga i Kitowicza nie należały do rzadkości. Poznęcajmy się nad paroma wyimkami z kuchennej literatury. Na stronie tytułowej jadłospisu z Karczmy Rzym w Suchej Beskidzkiej czytamy: *Trzy lekarstwa na świecie goją ludzkie rany, dziewczeczka, kwatereczka, woreczek wypchany (...). Kiedy siedzisz przy biesiadzie nie myśl o swadzie.* U Rybiorza w Brzegu gość mógł dowiedzieć się, że znajdzie w piwnicy węgryzna i chmiel wystają z komina (...) zaś gospodarz u stołu takie prawa daje pospół: *wino, dobra wola, to bankietów omasta, na końcu zaś ciasta.* Z kolei w Restauracji Zamkowej na Pieskowej Skale, gdzie kierownik tytułował się „kuchmistrem”, gość zapoznawał się z obszernymi wyimkami z Kaspra Miaskowskiego i dowiadywał, że *gorzałki tudzież wina i miodu z sobą przynosić się nie godzi,* zaś na zapleczu znajduje się książka *do której pretensje iakowe a żale ktokolwiek wpisać snadnie może.* Kreatywnością musieli wykazać się kierownicy knajp serwujących kuchnię staropolską dla dewizowców. Żurek tłumaczyli bowiem jako „kind of polish sour soup”, a kołduny jako „polish ravioli”. Trzeba im jednak oddać, że zatrudniali profesjonalnych tłumaczy (nie było jeszcze google translatora odpowiedzialnego za szereg zabawnych wpadek w gastronomii) i wersje anglo-, francusko- lub niemieckojęzyczne są przyzwoite. Ciekawie translacja działa też w drugą stronę. Trudno nie docenić swady autora przekładów nazw cocktaili takich jak Upadły Anioł, Krawawa Mańka, Vodkatini czy Złoty Świder. Rewersem tego nabzdyczenia była niekiedy ujmująca prostota. Na przykład ziemniaki ze zsiadłym mlekiem, budyń z sokiem, naleśniki z cukrem lub twarożek ze szczypiorkiem. Takie dania, których szczerłość dziś raziłaby nawet w barach mlecznych lub knajpkach pozujących na „domowo-babcine”. Zsiadłe mleko i ziemniaki. Kropka. Niekiedy działało się to w obrębie jednego menu. To znaczy lokal, który oferował chateaubriand, mógł kilka pozycji dalej zachwalać zsiadłe mleko z zieminkami albo kaszankę smażoną z cebulą. Pomieszenie nieudolnego wykwentu z prostotą można traktować jako konsekwencję awansu szerokich mas ludowych.

KOLEKCJA JADŁOSPISÓW

Historia gastronomii i kulturowe aspekty gotowania są obszarem coraz chętniej eksplorowanym przez badaczy. Menu z 582 restauracji, zebrane przez Jerzego Szkopka i zgromadzone w Bibliotece Raczyńskich, dają całociowy wgląd w kuchnię dojrzałego i schyłkowego PRL-u, a tym samym pozwalają formułować wnioski dotyczące przemian obyczajowych i gospodarczych. Z drugiej strony jadłospisy mają też wartość jednostkową i pozwalają osobom piszącym o konkretnych regionach, miastach czy lokalach sprawdzić, jakie dokładnie dania serwowano wówczas w tych miejscach. Uzupełnieniem kolekcji są wycinki prasowe poświęcone gastronomii, wprawdzie nieliczne, ale i tak pomocne dla osoby prowadzącej kwerendę dotyczącą zbiorowego żywienia w Polsce ludowej. Kolekcja Jerzego Szkopka to z pewnością dużo więcej niż sympatyczne kuriozum.

Ilustracja:
Menu z kolekcji Jerzego Szkopka. Ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich.



Admirał Józef Unrug w korespondencji Jerzego Pertka

Barbara Ksit

Dział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich

Na początku października 2018 r. w polskich mediach, a także w prywatnych rozmowach rodaków, często powracano do uroczystości, jaka miała miejsce na Oksywiu. Świętowano sprowadzenie do Polski prochów admirała Józefa Unruha (1884–1973). Mało kto chyba nie słyszał o wieloletnim dowódcy Floty Polskiej, legendarnym Obrońcy Wybrzeża w 1939 r. Dla wielu osób istotną jest okoliczność, że zgodnie z jego testamentem powrót Józefa Unruha do ojczyzny stał się możliwy dopiero po godnym pochówku jego podwładnych, straconych po sfingowanym procesie w latach stalinowskich. Pogrzeb ofiar tzw. spisku komandorów na gdyńskim cmentarzu Marynarki Wojennej nastąpił dopiero w 2017 r.

DŻENTELMEN W KAMPANII GÓRNICZEJ

Józef Unrug już od 1906 r. służył w niemieckiej marynarce wojennej. Opuścił ją w 1918 r., gdy państwo polskie odzyskało niepodległość. Zasłynął jako twórca przedwojennej polskiej floty wojennej i wybitny oficer. We wspomnieniach pojawia się często jako wzór dżentelmena – surowy wychowawca i arbiter wojskowej elegancji w jednej osobie. Kto pragnąłby poznać fascynujące losy Józefa Unruha, może sięgnąć do jego biografii autorstwa Mariusza Borowiaka. Obszerny tom pod tytułem *Admirał Unrug 1884–1973* doczekał się w 2019 r. czwartego wydania. Pamięć o Józefie Unrug jest wciąż żywa, także w Poznaniu, o czym świadczy nadanie jego imienia ulicy na terenie Osiedla Kiekrz.

Warto zauważyć, że w zbiorach Biblioteki Raczyńskich przechowywana jest korespondencja pomiędzy admirałem Unrugiem a poznańskim pisarzem-marynistą Jerzym Pertkiem. Składają się na nią 44 obiekty, w tym 29 listów od Józefa Unruha. Większość listów Admirała jest pisana odręcznie, wyrazistym i czytelnym charakterem pisma, jedynie dwa ostatnie (z 1972 r.) są napisane na maszynie.

Pierwszy list nosi datę 24 czerwca 1958 r. Został wysłany z Maroka, z miejscowości Agadir, gdzie w latach 1951–1957 Józef Unrug pracował w kampanii górniczej. Mimo przekroczonej siedemdziesiątki był zatrudniony przy załadunku manganu i na stanowisku magazyniera części zapasowych do ciężarówek. Jego sytuacja finansowa na obczyźnie była zła. Kiedy w 1919 r. Józef Unrug zgłosił się do służby w Polskiej Marynarce Wojennej, zrzekł się należnej mu emerytury niemieckiej. Po II wojnie światowej mieszkał krótko w Anglii, nie czuł się jednak uprawniony do emerytury brytyjskiej i jej nie przyjął. Powrót do kraju i otrzymanie wsparcia od władz PRL nie wchodziły w rachubę. Wyjazd do Maroka w 1948 r. motywowany był większymi możliwościami znalezienia pracy. Mimo zaawansowanego wieku Józef Unrug cieszył się dobrym zdrowiem i kondycją fizyczną. Niestety afrykański klimat nie służył pani admirałowej Zofii Unrużynie. Z tego powodu latem 1958 r. Unrugowie przenieśli się do Francji. Z czasem zamieszkali w Domu Polskim dla emerytów w wiosce Lailly-en-Val pod Orleanem. W zabytkowym ośrodku utworzono ośrodek dla osób niezdolnych do pracy, a koszty ich zakwaterowania pokrywał departament Seine. W tym miejscu admirał Unrug przeżywał do swojej śmierci w 1973 r. i stąd pochodzą wszystkie następne listy, które napisał do Jerzego Pertka.

PISARZ FACHOWO NIENAGANNY

To z inicjatywy Admirała doszło do nawiązania korespondencji. W swoim liście opisuje, jak w kwietniu 1958 r. zawiązał do Agadiru statek „Stella Nova” z polską załogą. Od niej to właśnie otrzymał w prezencie książkę Jerzego Pertka *Polacy na szlakach morskich świata i Wielkie dni małej floty*. Zachwycony lekturą Admirał pisze do autora, by pogratulować mu talentu i pracowitości: *Przebywając od jesieni 39-go roku w niewoli, tylko dorywczo i powierzchownie byłem poinformowany o działalności okrętów i statków pod polską banderą. Słyszałem i czytałem coś nieośmieszającego o wyczynach poszczególnych okrętów, ale nie miałem poglądu na całość. Dopiero Pana książka dała mi obszerniejszy obraz wprost fantastycznego i pełnego chwały wysiłku wojennego naszych marynarzy. (...) Jak się cieszę, że wreszcie się znalazł wśród Polaków utalentowany pisarz, który obrał sobie za temat swej twórczości historię morską, który w sposób fachowo nienaganny, ale dla „niemorskiego” czytelnika zrozumiały odtwarza poczynania morskie swego narodu!*

Zachęcony życzliwością Admirała Jerzy Pertek w liście z 18 sierpnia 1958 r. zasypał go pytaniami dotyczącymi kampanii wrześniowej oraz początków polskiej floty wojennej po 1918 r. Podkreślał, jak wysoko sobie ceni zdanie Admirała na temat swojej pracy nad utrwaleniem polskich tradycji morskich: *Każdy, kto interesuje się (...) historią naszej floty w okresie międzywojennym, zdaje sobie sprawę i wie, że te jej sukcesy w latach wojny, te jej wielkie dni były logicznym następstwem doskonałego przygotowania i szkolenia, jakie personel floty otrzymał w latach Pańskiego dowodzenia*. Jerzy Pertek dodał także, że do gimnazjum w Poznaniu chodził z krewniakami Admirała, kuzynami Piotrem i Janem Unrugami: *w naszych sztabach czasach Pańska postać była dla nas jakby uosobieniem Polski na morzu*. Do tego listu Jerzy Pertek dołączył jedną ze swoich broszur poświęconych okrętom Polskiej Marynarki Wojennej. Przesyłała ta rozpoczęła serię wysyłek, która nieodmiennie towarzyszyła korespondencji przez lata. Pisarz systematycznie dostarczał Admirałowi swoje publikacje, równo-

ście przeprasząc, że każdą z nich opatruje swym podpisem: *Nie jest to żadna mania składania autografów, tylko konieczność; są u nas takie przepisy, że wysyłane za granicę książki muszą być z dedykacjami*.

W odpowiedzi Józef Unrug udzielił Jerzemu Pertkowi informacji na temat oficerów i marynarzy pochodzących, jak on, z marynarki niemieckiej. W jego odczuciu nie było ich wielu. We flocie odbudowującego swoją niepodległość państwa polskiego dominowali oficerowie wywodzący się z zaboru rosyjskiego. Stąd być może brała się, podkreślana w wielu wspomnieniach z okresu dwudziestolecia międzywojennego, odrębność Józefa Unruha na tle całej ówczesnej kadry morskiej. Korespondenci wymienili także kilka listów na temat składu polskiej delegacji uczestniczącej w pertraktacjach z Niemcami przed kapitulacją, podpisaną 2 października 1939 r. w Sopotach.

MARYNISTYCZNA PASJA

W liście z 17 lutego 1958 r. Admirał wyraził swój podziw dla sztuki malarskiej Adama Werki, którego prace znał m. in. z lektury miesięcznika „Morze”. Uważał, że jego portrety okrętów i statków łączą piękną i statkowi oddaniem szczegółów. Do dziś Adam Werka, autor ilustracji do wielu dzieł Jerzego Pertka, cieszy się opinią najlepszego polskiego marynisty. Parę miesięcy później, z okazji 75-lecia urodzin Admirała, Jerzy Pertek przesłał mu obraz, specjalnie dla niego namalowany przez Adama Werkę, przedstawiający niszczyciela „Burza”. Dwukrotnie Jerzy Pertek namawiał Admirała do spisania wspomnień z lat 1919–1947. Ubolewał nad brakiem źródeł do historii marynarki wojennej. W liście z 7 marca 1959 r. napisał nawet, że jeśli osoby takie jak Józef Unrug nie utrwalały swoich doświadczeń na piśmie, to przyszłym historykom łatwiej będzie opracować monografię dziejów floty polskiej z czasów Zygmunta III niż z pierwszej połowy XX w. To porównanie nie było przypadkowe. Jerzy Pertek był bardzo dumny z tego, że udało mu się odkryć zapomniane przez badaczy diariusze królewskich komisarzy okrętowych z okresu bitwy pod Oliwą. Prosił o spisanie wspomnień Admirała odrzucając zdecydowanie: *Otóż za mało mam do opowiadania i wolę pozostawić ten dział twórczości literackiej wielkim tego świata. Chętnie jednak współpracować tam, gdzie mogę być pomocny*. Józef Unrug na zamówienie Radia Wolna Europa przygotował opracowanie *Jak powstała marynarka wojenna polska 1918–1939*, które zostało wydrukowane na łamach emigracyjnego czasopisma „Nasze Sygnały”. Według słów Admirała *jest to (na 11 stronach maszynopisu) zarys historyczny, bez nazwisk – za wyjątkiem kilku najważniejszych – i bez cyfr czy statystyk, rodzaj kośćca mogącego służyć dla szczegółowego uzupełnienia. Kończy się z wybuchem wojny*.

WSPOMNIENIA, LEKTURY

Mimo podeszłego wieku Józef Unrug prowadził aktywne życie. W listach często wspomina o braku czasu z powodu licznych zajęć. Na długo zachował bystry umysł, zapał do pracy i lektury. 27 maja 1959 r. podzielił się z Jerzym Pertkiem wrażeniami z lektury książki Williama R. Andersona *Nautilus 90° North*. Jest to opis podróży amerykańskiego okrętu podwodnego przez biegun północny. Pragnął, aby Polacy z tej i tamtej strony kordonu mogli ją przeczytać, i wyraził gotowość jej przetłumaczenia. Zrezygnował, gdy poznański pisarz zawiadomił go, że Wydawnictwo Iskry przedsięwzięło już kroki do jej wydania.

Wśród wielu materiałów, które Jerzy Pertek przesłał do Francji, znalazł się wycinek z tygodnika „Stolica” z artykułem o ucieczkach z oflagów, m. in. o przygotowywanej za wiedzą Admirała ucieczce całego obozu II-C z miejscowości Spittal an Drau do Jugosławii. Józef Unrug skomentował: *rzeczywiście pamiętam,*

że koledy żyjący rozwijali pewną aktywność celem robienia podkopy etc. Oczywiście ja o tym wiedziałem, że się coś dzieje, choć nie wdawałem się w szczegóły. Zresztą we wszystkich oflagach, które poznałem (byłem w siedmiu różnych), z reguły znajdowała się ekipa zapaleńców, która planowała ucieczki, pojedyncze, zbiorowe – można było wybierać. Przeważnie nic z tego nie wyszło i niepotrzebnie sporo ludzi w związku z tym straciło życie lub zostali ranni. Literatura polska, angielska itd. na ten temat jest bogata, no i jak zawsze „bluszczy legendy” – im dalej tym więcej – obrasta prawdę rzeczywistości.

Od 1963 r. listy stają się coraz krótsze, sprowadzają się do podziękowań za przesyłki i okolicznościowych życzeń. W 1970 r. Unrug znalazł portret Pertka na okładce tomu *Morze w ogniu* i zauważył: *pierwszy raz zobaczyłem, jak Pan wygląda, co bardzo dodatkowo wpływa na starą przyjaźń*. W odpowiedzi na ponawiane prośby Pertka Admirał przesłał do Poznania swoją fotografię, według jego słów *robioną – o ile mnie pamięć nie myli, krótko przed ostatnią wojną*. Zdjęcie zaopatrzył w osobistą dedykację i dołączył do listu z 28 lipca 1972 r. List ten okazał się ostatnim.

WSPOMNIENIA O ADMIRALE

W Kolekcji Jerzego Pertka oprócz własnych listów Admirała znajdziemy także wspomnienia na jego temat rozproszone wśród relacji innych ludzi morza. Nazwisko Józefa Unruha pojawia się na przykład w liście porucznika Jerzego Hedingera, który zaznacza, że wszyscy marynarze z floty (w odróżnieniu od Kierownictwa Marynarki Wojennej) *zawsze uwielbiali Unruha* (list do Jerzego Pertka z 9 kwietnia 1971 r.).

Szczególnie barwny epizod znajdziemy w maszynopiśmie Henryka Chudzińskiego, z tytułowanym *Trzy kwadransy i trzy dni*. *Wspomnienia z obrony Helu w r. 1939*. Autor, podporucznik rezerwy artylerii, otrzymał powołanie pod broń 24 sierpnia. Miał niezwłocznie zgłosić się z pełnym umundurowaniem na Helu. Niestety od 10 lat nie miał munduru na sobie, a że w tym czasie przytył ponad 20 kg, zgłosił się w dowództwie w szarym letnim ubraniu. Spotkany na Helu Józef Unrug zrazu przywitał go uprzejmie, myśląc, że ma do czynienia z zapóźnionym letnikiem. Kiedy jednak podporucznik wyjaśnił cel swojej obecności, Admirał zmienił ton rozmowy i już całkiem służbowo zapytał, czemu *paraduję w cywilu*. *Powiedziałem, jak to było z moją dziesięcioletnią bezczynnością wojskową i obrośnięciem w tłuszcz*. Tłumaczyłem, że tak nagłe powołanie pod broń nie pozostawiło mi czasu do adaptowania munduru. *Wtedy admirał sprawił mi reprimendę co się zowie o obowiązkach oficera rezerwy. (...) Rozstanie nasze było całkiem formalne. For ever*. *Odczułem je jako stratę moralną* (...). *Przez kilka lat bowiem kolegałem się z admirałem w pełnej harmonii w Radzie gdyńskiej YMCA i spotykaliśmy się też przy niejedynej okazji towarzyskiej. Oficerowie jego opowiadali mi potem, że był w stanie dostać szalu na widok niezapiętego guzika*. Jakkolwiek cytowane powyżej fragmenty listów Józefa Unruha i wypowiedzi na jego temat nie wnoszą może istotnych pod względem merytorycznym informacji do biografii Admirała, potwierdzają jednak jego legendę. W listach do Jerzego Pertka Admirał daje dowody niezwykłej siły ducha, skromności i wielkiej klasy. Korespondencja ta jest także pocholebna dla poznańskiego pisarza. Józef Unrug nie szczędzi Jerzemu Pertkowi pochwał. Tak m. in. napisał w grudniu 1961 r., dziękując za książkę *Dzieje ORP Orzeł: My tu na wychodźstwie wysoko oceniamy Pana niezmierną pracę ku upamiętnieniu historii morskiej naszej Ojczyzny*. *Zaskarbił Pan sobie wdzięczność wszystkich tych, którzy brali czynny udział w tworzeniu potencjału i podstaw ku powstaniu nowoczesnej floty polskiej na morzu*.

Fot.: Józef Unrug, ok. 1939 r. Ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich.

Wojenne losy Andrzeja Wojtkowskiego

Maria Niestrawska

Dział Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich

Wybuch II wojny światowej zakończył złoty okres rozwoju Biblioteki, jak nazwał go Andrzej Wojtkowski. Wojna przerwała także jego związki z Biblioteką Raczyńskich i z Poznaniem. Książnica została przygotowana do konfliktu zbrojnego według wytycznych Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego z maja 1939 r. dotyczących zabezpieczenia dóbr kultury: budynek zabezpieczono przed pożarem, wyposażono w niezbędny sprzęt sanitarny oraz utworzono schrony. Przed 1 września 1939 r. biblioteka przyjmowała jeszcze zbiory prywatne, m.in. starodruki Szuldrzyńskich z Lubasza, część biblioteki po Bolesławie Erzepkim, czy partytury symfonii i oper Feliksa Nowowiejskiego. Nie przewidywano ewakuacji zbiorów, które miały zostać zabezpieczone na miejscu, w sejfie pozostałym z wyposażenia Banku miasta Poznania, który zajmował pomieszczenia w gmachu księżnicy do 1927 r.

W pierwszych dniach września bibliotekarze stawili się do pracy i starali się normalnie wykonywać swoje obowiązki. Wkrótce Andrzej Wojtkowski, jako weteran odsieczy Lwowa w 1919 r., w której brał udział w poznańskiej kompanii ochotniczej, wyruszył na wschód, bezskutecznie starając się w powiatowych komendach uzupełnień o przyjęcie do wojska. Następnie zgłosił się do pracy jako sanitariusz w szpitalu w Kutnie, po którego zbombardowaniu wyruszył w stronę Warszawy. Po kapitulacji stolicy powrócił do zajętego przez Niemców Poznania. Bibliotekę Raczyńskich zastał zamkniętą, miało to miejsce 13 września 1939 r.

WYSIEDLENIE I PODRÓŻ W NIEZNANE

W pierwszych dniach listopada 1939 r. Andrzej Wojtkowski wraz z żoną Filonią i czwórką dzieci, z których najstarsze miało 14 lat, a najmłodsze 6, został wysiedlony z mieszkania w magistrackiej kamienicy przy ul. Fischerai 18 (dziś Rybaki). Wydarzenie to miało miejsce wczesnym rankiem 5 lub 7 listopada, kiedy wyrzucono z mieszkań profesorów Uniwersytetu Poznańskiego, wysokich urzędników państwowych, nauczycieli gimnazjalnych, prawników, lekarzy i kupców.

Wieczorem (...) po godzinie policyjnej, cała rodzina siedziała razem w jadalni, słuchając wspomnień gimnazjalnych i oglądając notatki uniwersyteckie z Berlina. Wtedy właśnie rozległ się ostry dzwonek do drzwi i uderzenia kolbami. Wkroczyło czterech żandarmów pod dowództwem wachmistrza. (...) Wachmistrz podając do wiadomości rozkaz wysiedlenia, dwukrotnie zapytał: „Czy jest Pan Volksdeutschem?” Andrzej Wojtkowski dwukrotnie twardo odpowiedział: „Nie!” Wyznaczone na spakowanie podręcznego bagażu 20 minut wydłużyło się. Wachmistrz nie mógł sobie dać rady z likwidacją książeczek oszczędnościowych: każde dziecko miało swoją. Jeden z pilnujących żandarmów poradził zabrać pończochy: dzieci było czworo od 6 do 14 lat. W końcu cała rodzina została wyprowadzona na chodnik i przewieziona do obozu na Główniej – pisał syn Julian w artykule wspomnieniowym *Na styku dziejów zbawienia z historią Wielkopolski (Andrzej Wojtkowski 1891–1975)*, zamieszczonym w „Studiach Warmińskich” w 2004/2005 r.



Jako dyrektora Biblioteki Raczyńskich i profesora Uniwersytetu Poznańskiego nazwisko Andrzeja Wojtkowskiego znalazło się na jednej z list inteligencji sporządzanych przez okupanta. Zgodnie z zamierzeniami władz hitlerowskich polska inteligencja miała zostać usunięta z zajętych ziem polskich przez masowe wysiedlenia. Wraz z innymi wysiedlonymi rodzina Wojtkowskich trafiła do obozu przesiedleńczego dla ludności polskiej utworzonego na Główniej w Poznaniu. Po krótkim pobycie w obozie pierwszym transportem z 1 grudnia 1939 r. rodzina Wojtkowskich wraz z 831 osobami została wywieziona do Ostrowca Świętokrzyskiego.

Ze wspomnień syna: *W obozie nastał sądny dzień. Rakiety oświetlające, rewizje osobiste przeprowadzane przez „Hitlerschwester” na wybranych kobietach, upychanie trzydziestu kilku osób z bagażami do poszczególnych wagonów, porcje chleba, wiadro kawy zbożowej, zasuwanie drzwi, wreszcie „Los!” i odjazd w nieznane. (...) Straż transportu stanowiła policja pomocnicza złożona z Volksdeutschów w cywilnych ubraniach, z opaskami „Hilfspolizei” na ramieniu, uzbrojonych w karabiny. Na dłuższych postojach otwierali drzwi wagonów i pozwalali więźniom wyjść na otoczony strażą teren (...). Jeden z nich chciał zmiażdżyć głowę Andrzejowi Wojtkowskiemu zasuważąc znienacka ciężkie, okute stalą drzwi wagonu. W wagonach było zimno, nie było co jeść, ani pić. Od czasu do czasu, gdy postój wypadł na stacji, można było kupić trochę żywności lub herbaty. Niespodziankę zrobili Żydzi w Radomsku. Przyniesli na rampę kotły z ciepłą zupą, gęstą, z kawałkami gęsiny. Na znak dany przez starszyzną żydowską młode Żydówki podbiegły do wagonów i szybko warzącymi przelały zupę do wyciągniętych miseczek i menażek. Potem równie prędko odbiegły z pustymi kottami.*

W GENERALNEJ GUBERNII

Na miejscowego wójta spadł obowiązek zakwaterowania wysiedlonych Wielkopolan. Rodzina Wojtkowskich trafiła do Władysława Klepackiego, właściciela fabryki cegły szamotowej koło Opatowa, który przeznaczył dla nich do zamieszkania domek ogrodnika składający się z jednej izby i kuchni. Warunki egzystencji były bardzo ciężkie: *Zima była bardzo ostra, jedynym opałem drewno ku-*

powane na targu, po co raz droższych cenach. Zakupy żywności dla licznej rodziny szybko wyczerpywały skromne oszczędności. Ważną pomocą był gesty krupnik z kawałkami mięsa i pozakartkową porcją chleba, wydawany wysiedleńcom przez kuchnię pani inżynierowej Dąbkowskiej z zakładów ostrowieckich – wspominał syn Julian.

W maju 1940 r. na zaproszenie księżstwa Zofii i Krzysztofa Radziwiłłów cała rodzina przeniosła się do Sichowa w powiecie stopnickim. Zamieszkali w drewnianym domu plenipotenta, a Andrzej Wojtkowski podjął się nauki języka niemieckiego dzieci pary książęcej. Po aresztowaniu Radziwiłłów przez Gestapo i wywiezieniu do obozu koncentracyjnego, Wojtkowscy znaleźli schronienie na plebanii w Koniemłotach. Wtedy starsze dzieci rozpoczęły tajne nauczanie, a młodsze przygotowania do przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej. Andrzej Wojtkowski rozpoczął wtedy pisanie z pamięci historii Polski, chcąc się przekonać, na ile ją zna. 1 lutego 1941 r. Andrzej Wojtkowski objął posadę tłumacza i sekretarza w dyrekcji folwarków w Sichowie. Aby uniknąć wywiezienia na roboty przymusowe do Rzeszy, najstarszy syn i najstarsza córka również rozpoczęły pracę w tym biurze, równocześnie kontynuując tajną edukację. Na wysiedleniu Maria Wojtkowska, która przed wojną ukończyła dwie klasy gimnazjum, zdała maturę, a jej brat Julian tzw. małą maturę. W akcję tajnego nauczania zaangażowany był również profesor Wojtkowski, nauczający łaciny oraz jego żona Filonia, wykładająca matematykę. Profesor pomagał również miejscowej ludności w pisaniu urzędowych pism w języku niemieckim. Gdy w sierpniu 1944 r. Sichów znalazł się nieopodal linii frontu, cała okoliczna ludność została ewakuowana. Wojtkowscy przenieśli się wtedy do Szwagrowa w gminie Strużki. Tam Wojtkowski przymusowo brał udział w kopaniu okopów.

PROFESOR KUL

We wrześniu 1944 r. Andrzej Wojtkowski razem z najstarszą córką Marią wyruszył do Lublina i zgłosił się u księdza rektora Antoniego Słomkowskiego do pracy w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Objął katedrę historii nowożytnej w charakterze zastępcy profesora. Wkrótce cała rodzina przeniosła się do Lublina. Maria zapisała się na Wydział Nauk Społeczno-Ekonomicznych KUL, syn Julian rozpoczął naukę w liceum matematyczno-przyrodniczym, a młodsze dzieci w szkole podstawowej. Andrzej Wojtkowski był nie tylko znakomitym historykiem. Był również bibliografem i doświadczonym bibliotekarzem, mającym ponaddziesięcioletnie doświadczenie w kierowaniu Biblioteką Raczyńskich. Nie było zatem lepszego kandydata do objęcia stanowiska dyrektora uczelnianej biblioteki. 1 listopada 1944 r. Senat KUL powołał go na stanowisko dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W 1945 r. Andrzej Wojtkowski rozszerzył habilitację na historię kultury, objął Katedrę Historii Kultury Polskiej oraz otrzymał tytuł profesora zwyczajnego.

W tym czasie zapadła również decyzja o niewracaniu do Poznania. Gdy po pierwszym roku pracy na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim profesor przybył do Poznania, aby zabrać ocalały z pożogi wojennej majątek, nie odnalazł nawet części swego warsztatu naukowego: w archiwum na Górze Przemysła spaliły się materiały do drugiego tomu *Bibliografii Historii Wielkopolski* i do monografii Karola Libelta. Dogłębnie wstrząsnął profesorem widok wypalonego do piwnic gmachu Biblioteki Raczyńskich, którą przez ponad dekadę kierował. Postanowił nie wracać do Poznania.

Ilustracja:

Andrzej Wojtkowski (z prawej) przed Biblioteką Raczyńskich. Fot. sprzed 1939 r. ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich.

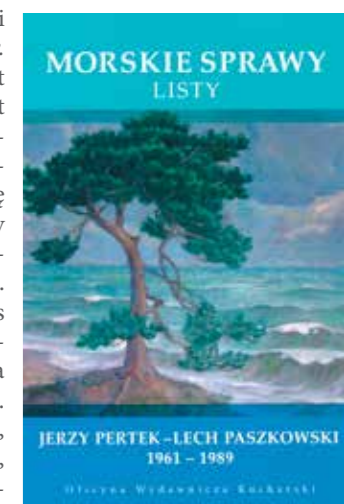
Nowości wydawnicze

Marian Grześczak, *Przedostatnie wiersze*, układ wierszy I. Grześczak, posłowie J. Drzewucki, Poznań 2020.

O nowej książce Mariana Grześczaka, która ukazała się nakładem Biblioteki Raczyńskich i Wydawnictwa „Wulkan”, napisał historyk literatury, Piotr Bogalecki: *„Bo w każdym z nas/ jest nas wielu, ale/ o wiele większych/ i to o nich piszę” – czterowierszem takim zakończył Grześczak jeden z tekstów wchodzących w skład tomu „Przedostatnie wiersze”. Choć utwór ów, noszący tytuł „Brat Holan”, opowiada o legendarnym czeskim poecie, zacytowana puenta utrzymana została w pierwszej osobie liczby pojedynczej i pomyślana jako próba artystycznej autocharakterystyki twórczości autora „Lumpenezji” (...). W istocie, mimo niewielkich rozmiarów „Przedostatnie wiersze” czytać można jako retrospektywną summę poetycką Mariana Grześczaka – stale nawiązuje on w nich do głównych tematów i nurtów swojej twórczości, sytuując je w nowych kontekstach, reinterpretując, a tym samym – reanimując i przedłużając im życie. Marian Grześczak (1934–2010) był poetą, powieściopisarzem, dramaturgiem, autorem przekładów z literatury czeskiej i słowackiej, współzałożycielem poznańskiej grupy literackiej „Wierzbak”. *Przedostatnie wiersze* to druga, po *Wersetach jerozolimskich* z 2012 r., wydana pośmiertnie książka poetycka Grześczaka. Opublikowana została w serii „Poezja i proza poznańskich polonistów” i zawiera dotąd pozostające w rękopisach, odnalezione w archiwum Grześczaka wiersze, które powstały w ostatnich latach życia autora. Edycję dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.*

Morskie sprawy. Listy. Jerzy Pertek – Lech Paszkowski 1961–1989, oprac. B. Żongołłowicz, Toruń 2020.

Nakładem Oficyny Wydawniczej Kucharski ukazała się książka *Morskie sprawy. Listy. Jerzy Pertek – Lech Paszkowski 1961–1989*. Jest to III tom z serii *Listy z Australii*. Stanowi efekt wieloletnich badań z zakresu epistolografii pisarki, dziennikarki i poetki z Australii, Bogumiły Żongołłowicz. Obejmuje korespondencję Jerzego Pertka – wybitnego pisarza-marynisty i Lecha Paszkowskiego – pisarza i marynisty „niespełnionego”. Pertek o morzu pisał. Paszkowski posmakował morza. Odbył rejs na szkolnym żaglowcu „Dar Pomorza” w ramach letniej żeglugi po Bałtyku i 14 rejsów na wodach Tasmanii pod banderą australijską. Obaj pisarze bardzo sobie cenili tę listowną, blisko trzydziestoletnią, wymianę myśli, a dotyczącą spraw morskich z udziałem Polaków. Dr Bogumiła Żongołłowicz, badaczka zamieszkała w Australii od 1991 r., zdążyła poznać osobiście Lecha Paszkowskiego. Ze spuścizną Jerzego Pertka zetknęła się podczas kwerendy w zbiorach Biblioteki Raczyńskich. Po śmierci pisarza-marynisty w 1989 r. jego rodzina przekazała archiwum pisarza poznańskiej księżnicy. Kolekcja Jerzego Pertka jest udostępniana badaczom w Dziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Raczyńskich.





„Za matową taflą szkła” – Kazimiera Iłakowiczówna oczyma Lucji Danielewskiej

Mirella Kryś
Mieszkanie-Pracownia Kazimierzy Iłakowiczówny
Biblioteka Raczyńskich

Jedną z koleżanek Kazimierzy Iłakowiczówny z okresu jej studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie po latach mówiła, że nie sposób było nie zauważyć odmienności Iłły, która – metaforycznie rzecz ujmując – znajdowała się „za matową taflą szkła”, nie dając do siebie dostępu. Stwarzany przez sławną poetkę dystans w kontaktach międzyludzkich wpływał na to, jak była postrzegana. Nieliczni, których nie zrażała bezpośredniość, a czasem nawet nieżyczliwość Iłakowiczówny, czerpali jednak ogromną przyjemność z obcowania z tak niesamowitą osobą, jaką była autorka *Trzemyńskiego zająca*. Należała do nich poznańska pisarka – Lucja Danielewska, która była lektorką, opiekunką, ale także przyjaciółką Iłły. Po jej śmierci zajęła się pokojem, w którym poetka spędziła ponad 35 lat, zostając pierwszym kustoszem Mieszkania-Pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny. W 1988 r. wydała książkę wspomnieniową zatytułowaną *Portrety godzin*, w której opisała łączącą je relację.

SAFONA ZNAD WARTY

Lucja Danielewska to jedna z czołowych przedstawicielek poznańskiego środowiska literackiego, pisarka i tłumaczka. Pierwszy autorski tom poetycki, zatytułowany *Krótki cień południa*, wydała w 1972 r., choć już znacznie wcześniej publikowała swoje wiersze i prozę na łamach prasy. Była członkinią Koła Młodych Związku Literatów Polskich, a także założycielką Literackiej Grupy Niezależnych „Swantewit”. Prowadziła cieszące się ogromnym zainteresowaniem spotkania z autorami w Kawiarni Literackiej przy Starym Rynku w Poznaniu, które przyczyniły się do popularyzacji czytelnictwa w stolicy Wielkopolski. Ukończyła filologię słowiańską, przekładała beletrystykę oraz opracowania naukowe z języka chorwackiego. Pracowała przez pewien czas jako bibliotekarka, co łączyła ze swoją aktywnością pisarską i opieką nad rodziną. International Biographical Centre odznaczyło ją tytułem International Woman of the Year 2000/2001 w uznaniu zasług dla poezji, otrzymała również takie wyróżnienia, jak: Nagroda Jana Kasprowicza, Odznaka Honorowa Za Zasługi dla Miasta Poznania, Nagroda XI Międzynarodowego Listopada Poetyckiego czy Nagroda XIX Warszawskiej Jesieni Poezji.

OBLĘŻONY STOLIK I ZDZIWIONE LITERY

Lucja Danielewska otwiera książkę wspomnieniową poświęconą Kazimierze Iłakowiczównie opisem przełomowego dla niej spotkania ze sławną poetką: *Park między Operą a Zamkiem tętnił kiermaszowym gwarem. (...) Lowcy autografów czekali na podpisy Iwaszkiewicza lub Kosidowskiego. Pozostali wystarczali pisarze poznańscy. (...) Stolik naprzeciwko Opery był oblężony. Stałam w kolejce. Kremowy beret z pomponem zasłaniał twarz pisarki. Czarny gruby pisak posłuszny drobnutkiemu dłoni wpisywał kolejną dedykację. Litery jakby zdziwione wyrwaniami z alfabetu przechylały się lekko. „Na pamiątkę – Kazimiera Iłakowiczówna”. Poetka energicznym ruchem podała mi podpisaną książkę. Danielewska nie mogła wówczas oprzeć się wrażeniu, że stan zdrowia poetki uległ znacznemu pogorszeniu. Wszystko działo się w 1971 r., kiedy Iłła skończyła już 82 lata, słabła, a postępująca jaskra stopniowo odbierała jej wzrok, co wymusiło na niej konieczność posługiwania się grubym, ciemnym flamastrem. To właśnie wtedy autorka *Portretów godzin* usłyszała od swojego znajomego, że Iłakowiczówna poszukuje osób, które mogłyby pomagać jej w codziennych czynnościach, a przede wszystkim czytać jej prasę oraz książki. *Poczytać? Przecież ona nie przyjmuje każdego!* – odpowiedziała zdumiona podobną propozycją Danielewska, ale od tej pory myśl o szansie wizyty u Iłakowiczówny kielkowała w jej głowie.*

Niedługo później odwiedziła Iłłę w szpitalu przy ulicy Długiej. Wręczyła jej kwiaty i zmierzyła się z pierwszą próbą charakteru ekscentrycznej artystki: *zaraz mnie ofuknęła, że i tak pod wieczór zrobi się z nich zupa szczawiowa, bo w pokoju duszno, a za oknem upał*. Danielewska zobowiązała się dostarczyć Iłakowiczównie jeden z numerów „Kultury”, a ich kontakty – najpierw listowne, następnie telefoniczne, ostatecznie doprowadziły do wizyty w mieszkaniu sublokatorskim, w którym jeden z pokoi zajmowała autorka *Niewczesnych wynurzeń*.

Pierwsza wizyta Danielewskiej w secesyjnej kamienicy przy Gajowej nie należała do najprzyjemniejszych. Spóźniła się na umówione spotkanie ze względu na obowiązki w pracy, co Iłła skomentowała uwagą, że *Polacy żyją jak żaby w błocie i nie szanują cudzego czasu*. Tego dnia Danielewska otrzymała tak wiele różnych poleceń, że po zamknięciu drzwi miała mętlik w głowie. Choć wcześniej postanowiła, że odwiedza Iłakowiczównę po raz pierwszy i ostatni, nie mogła oprzeć się stanowczości poetki, która umieściła jej nazwisko w swoim „jadłospisie”, czyli planie uwzględniającym wizyty wszystkich lektorek i opiekunek. Danielewska pozostała częścią życia poetki aż do jej śmierci w 1983 r.

CODZIENNOŚĆ PRZY GAJOWEJ

Do obowiązków Danielewskiej należała przede wszystkim głośna lektura wybieranych przez poetkę książek oraz prasy. Swoje zdenerwowanie przy pierwszych sesjach porównywała do lekcji matematyki w czasach licealnych. Słowa wzięły jej w gardło, kiedy słyszała uwagi Iłakowiczówny, która surowo oceniała intonację, zwracała uwagę na zachowanie interpunkcji i poprawiała dykcję swoich lektorów. Wspólnie wychodziły także na spacer po jezyckich ulicach: Gajowej, Zwierzynieckiej, Mickiewicza, Sienkiewicza i Jackowskiego. Danielewska pomagała Iłakowiczównie w prowadzeniu korespondencji, która w sytuacji utraty wzroku, kiedy Iłła nie spotykała się z nikim poza swoim mieszkaniem, stanowiła treść życia poetki. Początkowo Danielewska czytała listy do pisarki i pomagała jej we własnoręcznym odpowiadaniu, wyznaczając dłonią linię zapisu, ale kiedy kreślone przez Iłakowiczównę litery przestały mieścić się na kartce, poetka zmuszona była dyktować swoje odpowiedzi. Obawiając się,

że uchybi swoim przyjaciółom, poprosiła o wykonanie faksymile z jej podpisem. Używała dwóch pieczętek, które nazywała *kukielką i lalczką*. Pod każdym z listów chciała pozostawić osobisty ślad. Poza powtarzaniem każdego dnia czynnościami, w pokoju Iłakowiczówny wydarzały się także rzeczy niesamowite, choć ona sama niekoniecznie postrzegając to właśnie w taki sposób. Gdy postanowiono wręczyć jej Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, poetka przyjęła w swoim mieszkaniu naprawdę ważne osobistości. Wcześniej nie przygotowywała się do tej uroczystości, pomimo że wiele osób oferowało jej pomoc. Choć zdawała sobie sprawę z faktu, że warunki, w których żyje są ascetyczne, zatroskanym o nią odpowiadała: *Przecież u mnie jest skromnie, ale czysto. Przecież – na Boga – konie tu nie stoją! A więc gości przyjąć można*. Wizytę Andrzeja Wituskiego, Andrzeja Goćwinskigo i Gerarda Górnickiego, którzy wręczali jej Krzyż Komandorski, skomentowała w następujący sposób: *Przyszli panowie, przynieśli pudełko, którego zawartości – niestety – nie mogłam już zobaczyć. Nie było żadnych przeszkód w wizycie. Mam w pokoju dwa krzesła i jeden fotel. W sumie były cztery osoby, więc wzięłam z przedpokoju stółek i siadłam na nim przy oknie w pokoju. Na stole położyłam pudełko z czekoladkami. I to wszystko*.

DYŻURY U IŁŁY

Spotkania Danielewskiej i Iłakowiczówny bywały wyczerpujące. Syn autorki *Antyfon malinowych* mawiał: *wypada wznieść okrzyk podziwu, jeśli w wieku osiemdziesięciu przeszło lat można wycisnąć z lektorki wszystkie niemal soki życiowe (...)*. Wystarczy, że spojrzę na twoją twarz, mam, i wiem, że wracasz od pani Iłakowiczówny. Mimo wszystko te osoby, które przetrwały próbę, zostawały u Iłły na dłużej, a kwestię wizyt u poetki traktowały jako nadrzędną. Pomimo że Iłakowiczówna zaczynała być zależna od innych osób, wciąż pokazywała swoją władczość, wydając detaliczne polecenia i wpływając na swoje lektorki. Brak uprzejmości usprawiedliwiała praktycznym podejściem do wszystkich spraw: *Nie przekazuję grzeczności i podziękowań za tę drobną pomoc, ale w ten sposób i pani odpowiadałaby mi coś niezwykle grzecznego, a listy musiałyby pisać Duch Święty*.

Zdarzało się jednak, że ujawniała swoją sympatię do Danielewskiej. Gdy ta rozchorowała się, Iłakowiczówna zaangażowała wszystkie siły, aby przyjeżdżać do szpitala w Nałęczowie i traktowano ją najlepiej. Kiedy obowiązki w pracy, domu i gorsze samopoczucie doprowadzało do rzadszych wizyt lektorki, Iłła różnymi drogami próbowała dowiedzieć się, kiedy „Danielusia” ponownie pojawi się w jej pokoju. W czym tkwiła tajemnica ich wzajemnego przywiązania? Być może stało się tak dlatego, że obie były poetkami. Danielewska nieśmiało odczytywała fragmenty swoich wierszy, by usłyszeć między innymi takie opinie: *Pani wie, że nie znoszę poezji, proszę zatem nie oczekiwać komplementów. Robota jest dobrze zrobiona i powinna pani przynieść uznanie krytyki i wdzięczność czytelników. Nie można rzec, iż jest pani u szczytu sławy, ale idzie pani konsekwentnie dalej*. Iłakowiczówna była też niezawodną korektorką nie tylko jej poezji, ale też artykułów. Danielewska przedkładała jej przede wszystkim teksty opisujące Iłłę, a gdy pominęła etap takiej autoryzacji, bardzo obawiała się, że urazi poetkę: *ryzykowałam wiele: to, że Iłakowiczówna zrezygnuje z mojej lektorskiej pomocy na zawsze*. Obawy wynikały z ogromnego szacunku wobec poetki, ale były nieuzasadnione, ponieważ przez lata relacja między nimi ugruntowała się na tyle, że zbudowały trwałą przyjaźń. Przy Danielewskiej Iłakowiczówna potrafiła zdobyć się na wyznania, które świadczyły o tym, jak boleśnie zdaje sobie sprawę z własnych wad: *Wiem, że bywam niezdolna. Warczę na kogoś dobrego. A potem strasznie żałuję. Ja w ogóle tak szybko kocham i nienawidzę, że nie wiem, kiedy co jest*. Najwy-

trwalszych towarzyszy Iłła nagradzała swoimi barwnymi opowieściami o dawnych znajomościach ze skamandrytami, trudnych latach emigracji w Siedmiogrodzie, dzieciństwie spędzonym na Łotwie albo konfliktach z Pawłem Hertzem, z którym pokłóciła się tak mocno, że postanowiła rzucać kamieniami w szyby biura Państwowego Instytutu Wydawniczego. Lucja Danielewska z fascynacją wsłuchiwała się w te historie, próbując zapisywać je na skrawkach gazet lub przenosić w pamięci. Nie wyobrażała sobie bowiem, aby nagrywać Iłłę ukrytym magnetofonem, co rzuciło jej zrobić wiele osób. Dzięki temu możliwe było stworzenie *Portretów godzin*.

POSTAĆ TAK TRUDNA DO UCHWYCENIA

Pierwsze fragmenty książki poświęconej Iłakowiczównie Danielewska pokazywała poetce – Annie Kamińskiej. Ta gorąco namawiała ją do kontynuowania prac, ponieważ dostrzegła wartość tego typu publikacji. Stworzonej przez kogoś, kto miał bezpośredni i długi kontakt z autorką *Trzemyńskiego zająca*. W listach pisała o tym: *To będzie wielka rzecz i ważna! Potrafiłaś w nich dać postać tak przecież trudną do uchwycenia. Pisać o konkretnym człowieku – to najtrudniejsze... Zda się, że największym wyzwaniem pozostawało wyluskanie z relacji Iłakowiczówny prawdy i uzyskanie od niej wystarczająco dużej bazy informacji*. Danielewska w książce daje wielokrotnie dowód na to, że w rozmowie Iłła bywała podobna do pstrąga: *wiedziała, co robi, zbijając mnie z tropu. (...) Wyskakiwała z jednego zdania, by ukryć się w następnym*. Mówiła zawsze tyle, ile chciała opowiedzieć swojej lektorce. Stąd kłopotliwa pozostawała nawet kwestia dokładnej daty urodzin Iłakowiczówny, która utrzymywała, że swoje święto powinna obchodzić trzynastą dni później ze względu na różnicę między kalendarzami: *To proste, jak z Rewolucją Październikową – różnica trzynastu dni wobec starego kalendarza. W Rosji przypada to dwudziestego piątego października, u nas ósmego listopada. Tak jest i ze mną. Szósty sierpnia za dawnych czasów to obecnie dziewiętnasty. Kropka*. Być może dlatego *Portrety godzin* to książka dygresyjna, często achronologiczna, przypominająca mozaikę, która układa się w taki sposób, abyśmy zobaczyli nie tylko portret Iłakowiczówny, ale także samej Danielewskiej.

NIE MOŻNA DOTYKAĆ PRZESZŁOŚCI

Lata mijały, zmieniała się sytuacja prywatna Danielewskiej, która wkrótce musiała zrezygnować z częstych wizyt w pokoju przy Gajowej. Odwiedzała Iłakowiczównę sporadycznie, ale wciąż starała się dbać o nią. Regularnie składała raporty do władz Poznania, donosząc o stanie zdrowia Iłły, o jej psychicznym samopoczuciu i najpilniejszych potrzebach. Poetka odeszła 16 lutego 1983 r., o czym telefonicznie poinformowano jej lektorkę i przyjaciółkę. Danielewska uczestniczyła w uroczystościach pogrzebowych Iłakowiczówny – najpierw w Poznaniu, a później na warszawskich Powązkach, gdzie pochowano pisarkę. To między innymi autorce *Antyfon barowych* zawdzięczamy powstanie Mieszkania-Pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny dokładnie w rok po śmierci Iłły. W ten sposób ocalono miejsce, w którym spędziła wiele lat, o którym mówiła: *na nim, jak na wołowej skórze, zapisana jest część mojej historii*. Najtrafniejszą odpowiedź na pytanie o to, dlaczego Danielewska zdecydowała się na trudną służbę u Iłakowiczówny, na stworzenie książki wspomnieniowej, a wreszcie – na pozostanie w mieszkaniu przy Gajowej, dała nam sama autorka: *Nie można dotykać przeszłości, nie czując się utożsamionym choć na chwilę z tym, co minęło*.

Fotografie ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich:
Kazimiera Iłakowiczówna, lata 50. XX w.
Lucja Danielewska, lata 70. XX w.



Zanurzona w historii

Kilka słów o ofercie edukacyjnej Mieszkania-Pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny

dr Arkadiusz Krawczyk
Mieszkanie-Pracownia Kazimierzy Iłakowiczówny
Biblioteka Raczyńskich

Przy ulicy Gajowej 4, w secesyjnej kamienicy, w bliskim sąsiedztwie dawnej zajezdni tramwajowej i Starego Zoo, znajduje się otwarte dla publiczności w 1984 r. Mieszkanie-Pracownia Kazimierzy Iłakowiczówny. To niezwykle miejsce, w którym czas się zatrzymał, upamiętnia postać nietuzinkowej poetki. Jej biografia i życiowe wybory wzbudzają coraz większe zainteresowanie nie tylko odwiedzających, ale także badaczy różnych dyscyplin.

Wynika to z faktu, że los Iłakowiczówny często zdeterminowany był przez wielkie wydarzenia historyczne, przez co autorka *Ikarowych lotów* realizowała się na różnych polach: jako poetka, sekretarka, tłumaczka, nauczycielka języków obcych, spotykając na swojej życiowej drodze wielu ciekawych ludzi ze świata polityki, sztuki i literatury. Urodzona w Wilnie w końcu XIX w. Iłakowiczówna wychowywała się na polskich Inflantach. Szybko zaczęła podróżować po Europie, będąc świadkiem chociażby rewolucji w 1905 r. w Petersburgu czy przemian kulturowo-obyczajowych w Anglii. W czasie I wojny światowej działała jako siostra miłosierdzia w VI Wszechrosyjskim Związku Ziemiańskim. Okres dwudziestolecia międzywojennego to czas zbliżenia się do skamandrytów, ale i zawarcia szeregu znajomości z ówczesną elitą kulturalną i polityczną. Iłakowiczówna pracowała jako urzędniczka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, z czasem została sekretarką Józefa Piłsudskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Podczas II wojny światowej przebywała na przymusowej emigracji w Rumunii. Trudny powrót do kraju, w nowych, komunistycznych realiach, zaskoczył poetkę, która ostatecznie osiadła w Poznaniu. Przyglądając się ludziom żyjącym w Polsce Ludowej, dziejowym przemianom i swojemu otoczeniu w poetycki sposób komentowała zachodzące zmiany, aż do swojej śmierci w 1983 r. Kamienica przy ulicy Gajowej, w której przez lata mieszkała Iłakowiczówna, stała się obecnie miejscem kulturalnych spotkań o różnej tematyce. Szeroka oferta edukacyjna, w ramach której wszystkie zajęcia prowadzone są bezpłatnie, zachęca do odwiedzin.

TAJEMNICE IŁAKOWICZÓWNY

Oprowadzanie ogólne poświęcone jest biografii ekscentrycznej poetki. Podczas spotkania opowiadamy o najważniejszych wydarzeniach z jej życia oraz momentach przełomowych, które ukształtowały Iłakowiczównę. Nasza prezentacja od-

bywa się w oparciu o eksponaty prezentowane w Mieszkanii-Pracowni. Wszystkie te rzeczy należały do poetki, a znajdują się wśród nich unikatowe wydania jej poezji, przedmioty codziennego użytku, pamiątki przypominające o różnych wydarzeniach. Taka aranżacja tego miejsca, będącego gniazdem literackim, pozwala odtworzyć atmosferę minionych lat, a także nawiązuje do anegdot pojawiających się podczas spotkania. W ten sposób tworzymy intrygującą mozaikę, będącą studium pasjonującego życiorysu.

W trakcie wizyty w Mieszkanii-Pracowni opowiadamy o zagadkowym pochodzeniu Iłły i związkach z romantycznymi poetami, przybliżamy jej stosunek do bliskich, rekonstruujemy oraz przywołujemy czasy, kiedy jako sierotę przysposobiła ją Zofia Buyno z Plater-Zyberków. Młodzieńczy okres życia pozwala przypomnieć o zapamiętanych przez przyszłą poetkę osobach, o mniej znanych historiach związanych z sytuacjami dnia codziennego. Odbywamy podróż do wielu miejsc związanych z Iłakowiczówną. Na naszej trasie pojawia się Wilno, Krasław, Stanisławów, Kraków, Warszawa, ale i Kluż, Petersburg, Genewa, Londyn. Dzięki jej burzliwemu życiorysowi wspólnie doświadczamy, czym był stan melancholii, jak kończą się niespłacone długi, poznajemy studenckie życie w Galicji, dowiadujemy się, w jaki sposób radzono sobie na froncie podczas I wojny światowej.

Losy Iłakowiczówny pozwalają także na opowieść o czasach dwudziestolecia międzywojennego, o zapatrywaniach poetki na twórczość, debiucie artystycznym czy guście literackim. Jej wysoka pozycja społeczna gwałtownie zmieniła się podczas II wojny światowej. Wtedy to, zmuszona wyjechać do Rumunii, utraciła swój dobytek, żyła skromnie, miała kłopoty z powrotem do kraju, do którego z czasem przywoziła liczne wspomnienia.

W trakcie oprowadzania sięgamy także do wydarzeń zapamiętanych przez poznaniaków z okresu, kiedy Iłła mieszkała już w mieście nad Wartą. Wspominamy jej spacer, pracę nad tłumaczeniami, wizyty uczniów chcących zgłębić tajniki języków obcych, obfitą korespondencję czy opiekunki zwane przez nią makolągwa. Przypominamy o wielu odznaczeniach poetki, szczególnie zaś o doktoracie honoris causa Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. To także czas na refleksję o przemijającym życiu, postępującej chorobie, wytrwałych przyjaciółach.

ARTYŚCI, URZĘDNIKI I POLITYCY W ŻYCIU IŁŁY

Tematyczne oprowadzanie przenosi nas przede wszystkim w czasy międzywojnia. To wtedy Iłakowiczówna była u szczytu swojej kariery. Utrzymywała liczne kontakty towarzyskie, brała czynny udział w życiu kulturalnym i politycznym, jako poetyka i urzędniczka. Wśród anegdot przybliżamy między innymi zabawną sytuację, jaka rozegrała się podczas wystąpienia Hanki Ordonówny. Wspominamy pewien osobliwy przypadek „kradzieży” praw autorskich do utworów poetki i zaciągniętego w ten sposób długu przez Karola Szymanowskiego. Opowiadamy o wydawniczych losach *Bajecznej opowieść o królewiczu La-Fi-Czaniu*, o *Żołnierzu Soju i o dziewczynce Kio* ilustrowanej przez Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz o perypetiach związanych z opublikowaniem *Rymów dziecięcych* z pracami Zofii Stryjeńskiej.

Naszą uwagę przykuły także niełatwe relacje Iłakowiczówny z Marią Dąbrowską czy Marią Jehanne Wielopolską. Interesujące przedstawiają się kontakty z innymi poetami. Wspominamy pewną kopenhaską przygodę z Jarosławem Iwaszkiewiczem czy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zaciągającego pożyczkę u Iłły. Podczas oprowadzania nie zabraknie także historii o niestroniącym od alkoholu, ale zawsze pomocnym Julianie Tuwimie oraz Władysławie Broniewskim, który recytował swoje wiersze

poetce. Z perspektywy Iłakowiczówny opowiadamy o śmierci prezydenta Gabriela Narutowicza oraz o posadzie sekretarki w Ministerstwie Spraw Wojskowych pod bacznym okiem Piłsudskiego.

Przenosimy się również w czasy powojenne. Naszymi przewodnikami i źródłami różnych anegdot o poetce stają się jej byli uczniowie, także ludzie pióra – Łucja Danielewska i Józef Ratajczak. Ich wspomnienia są o tyle cenne, że stanowią treść książek o Iłakowiczównie. Piszą oni o codzienności autorki *Niewczesnych wynurzeń*, jej sposobie bycia, wspomnieniach. Oprowadzanie dopełnia prezentacja multimedialna zawierająca unikatowe zdjęcia.

POZNAŃ WE WSPOMNIENIACH POETKI

Podczas lekcji muzealnej próbujemy odtworzyć wizerunek i klimat dawnego Poznania z perspektywy pisarskich wspomnień Iłakowiczówny. Kwestia ta jest o tyle interesująca, że poetka była w mieście nad Wartą już w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Ten mniej znany epizod z jej biografii staje się pretekstem do opowieści o ludziach i miejscach. Poznanie tych okoliczności jest możliwe dzięki specjalnie stworzonemu na tę okazję albumowi ze zdjęciami. Pierwszy pobyt w Poznaniu miał miejsce w czasie I wojny światowej, a sama Iłakowiczówna nie znała wówczas zbyt wielu osób w mieście. Jej późniejsze powroty, jeszcze przed 1939 r., wynikały z uznania i poetyckiej sławy. Opowiadamy o tym, jak przyjeźli ją poznaniacy, gdzie nocowała, jakie miała wymagania względem miejsc, w których się zatrzymywała. W kontekście powojennego przyjazdu do miasta istotna staje się kwestia wyboru właśnie Poznania na swój przyszły dom. Z tej perspektywy przypominamy dawne znajomości Iłakowiczówny, rodzinę mieszkającą w tych stronach Polski, jej subiektywne nastawienie do miasta, a także zarysujemy panoramę tutejszego życia kulturalnego. Tak zaprezentowane tło pozwala na opis codzienności poetki w czasach Polski Ludowej.

Zaglądamy zatem w miejsca, w których żyła i bywała, zarówno w bliskim otoczeniu ulicy Gajowej, jak i do kościołów, restauracji, bibliotek, parków. Dowiadujemy się o owadach, które utrudniały poetce egzystencję, o mrozie spowodowanym awarią pieca, o napadzie na listonoszkę Łodzię czy kolejkach przed sklepem. Wzmiankowane przez nas sytuacje opisywane byłyby niejednokrotnie w twórczości literackiej Iłakowiczówny oraz w licznych wspomnieniach. Jeden z jej najsławniejszych wierszy potraktowaliśmy jako rodzaj literackiego przewodnika po mieście. Poetka pisała także o często widywanych bibliotekarkach, wandalach niszczących pomnik Matki Boskiej z Lourdes przy kościele św. Marcina lub gotyckiej figurze, która nietknięta przetrwała wojenną zawieruchę we fragmencie zabudowań na ulicy Kłasztornej. W wierszach o Poznaniu poetka łączy pozornie przypadkową anegdotę z subiektywnym i wnikliwym spojrzeniem.

IŁAKOWICZÓWNA WOBEC POLITYKI

W trakcie oprowadzania tematycznego opowiadamy, w jaki sposób historia odcisnęła swoje piętno na życiorysie Iłły. Poetka urodziła się jeszcze pod zaborami, przeżyła obie wojny światowe, okupację i komunizm. Mieszkała lub przez dłuższy okres przebywała na Litwie, w Polsce, Rosji, Anglii, Siedmiogrodzie. Pozostała świadkiem swoich czasów, a jej życie niejednokrotnie zdeterminowane było przez historię, zarówno tą wielką – światową, jak i tą małą – lokalną. Iłakowiczówna pisała o tym nie tylko w swoich wierszach, ale także wspomnieniach – w *Niewczesnych wynurzeniach* i *Trzydziestu zającu*. Zapiski te niejednokrotnie odślaniają mniej znane, fragmentaryczne i ciekawie zredagowane opisy wydarzeń z perspektywy osoby, która była w nie bezpośrednio

zaangażowana. To właśnie rodzaj kobiecego pisarstwa czyni te przekazy interesującymi.

Podczas spotkania przeniesiemy się w czasy jeszcze sprzed I wojny światowej. To wtedy na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie Iłła studiowała filologię, odbył się strajk powszechnie znany jako Zimmermaniada, w którym wzięła udział. Iłakowiczówna zaangażowała się zresztą w różne ruchy. W tym kontekście przypomina o jej pobycie w Anglii, kiedy włączyła się w działalność feministyczną.

Poetka, gdy sytuacja w Europie po I wojnie światowej uspokoiła się na kilka lat, zaczęła swoją pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. To ważny etap w życiu Iłły, która była urzędniczką na stanowisku referendarza. W tym kontekście staramy się przybliżyć samo miejsce, w jakim pracowała, spotykanych ludzi, jej własne poglądy, które niejednokrotnie mogą zaskakiwać z dzisiejszej perspektywy.

Najbardziej jednak znana pozostaje praca Iłakowiczówny w Ministerstwie Spraw Wojskowych, gdzie była sekretarką Józefa Piłsudskiego. Sama znajomość z marszałkiem została zawarta jednak dużo wcześniej, w innych, ciekawych okolicznościach, o których wspominamy. Staramy się przybliżyć, co sądziła o swoim przełożonym, jakimi sprawami się zajmowała, z jakimi trudnościami zmuszona była sobie poradzić. Wizerunek Piłsudskiego zawarła w książce *Ścieżka obok drogi*. Publikacja ta jest cenna ze względu na subiektywne spojrzenie poetki na osobę marszałka i burzliwą dyskusję, jaka wywiązała się wokół jej wspomnień.

Oblicze Europy zostało na zawsze odmienione wraz z nadejściem II wojny światowej. Iłakowiczówna wyemigrowała do Rumunii. Sytuacja na tamtejszych ziemiach była niestabilna. Kluż, a więc miasto, w którym osiadła, przeszło pod panowanie węgierskie, by z czasem powrócić znowu do Rumunii. Wspomnienia z tego okresu to unikatowe zapiski uznanej już wtedy poetki i urzędniczki, która straciła wszystko. Właśnie o jej kłopotach, także związanych z powrotem do kraju, o wyobrażeniu Polski i o zastanej rzeczywistości opowiadamy podczas oprowadzania. Serdecznie zapraszamy w podróż do niezwykłego świata Kazimierzy Iłakowiczówny. Zasady zwiedzania ekspozycji dostępne są na stronie internetowej Biblioteki Raczyńskich oraz facebooku Mieszkania-Pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny.

Fotografia: Mieszkanie-Pracownia K. Iłakowiczówny w 1984 r. Ze zbiorów Biblioteki Raczyńskich.

„Izabella” po raz drugi

Muzeum Literackie Henryka Sienkiewicza zostało nagrodzone w prestiżowym konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku w Wielkopolsce „IZABELLA 2019” organizowanym przez Fundację Muzeów Wielkopolskich pod patronatem Marszałka Województwa Wielkopolskiego Marka Woźniaka. Katalog wystawy czasowej „Prezydent wart Poznania – Cyryl Ratajski (1875-1942)”, przygotowany przez Marię Niestrawską i Sławomira Pacholczyka otrzymał Trzecią Nagrodę w kategorii działalność promocyjna i marketingowa. Kapituła konkursu oprócz wartości merytorycznej i edukacyjnej publikacji doceniła całokształt zaproponowanych działań promocyjnych: szeroki program edukacyjny obejmujący wykłady i oprowadzania kuratorskie, prezentujące bohatera wystawy na wielu płaszczyznach oraz wywiady i artykuły popularyzujące postać prezydenta Ratajskiego. Jest to już druga „Izabella” zdobyta przez Muzeum Literackie Henryka Sienkiewicza i Bibliotekę Raczyńskich. Rok wcześniej w XVII edycji konkursu wystawa poświęcona Cyrylowi Ratajskiemu otrzymała wyróżnienie. M.N.

Gdy zamknięto drzwi, otworzyliśmy laptop

Anna Kozłowska
Dział Koordynacji Działalności Kulturalnej i Promocji
Biblioteka Raczyńskich

Konieczność zawieszenia działalności kulturalnej w tradycyjnym rozumieniu zaskoczyła niejedną instytucję i sprawiła, że z dnia na dzień kultura, jeśli nie chciała trafić w niebyt, musiała znaleźć się w przestrzeni cyfrowej. Działając w internecie mogliśmy od razu zadbać o czytelnika, który natknął się na komunikat: „uwaga, zamknięte”. Począwszy od czytania online, przez oprowadzania i wykłady, po spotkania, koncerty – wszystkie te formy dały bibliotece możliwość kontynuowania statutowej działalności, zaspokajania potrzeb kulturalnych odbiorców, ofiarowania nieco radości płynącej z czytania. I – co najważniejsze – utrzymania kontaktu z czytelnikiem w sytuacji, gdy w jednej chwili wszyscy zostaliśmy przez pandemię tego kontaktu pozbawieni. #Nie zostawiam czytelnika, #Kultura na wynos, #Kultura w sieci, #Zostań w domu to hasztagi, które towarzyszą nam od marca. Okazało się, że nie zabrakło pomysłów ani refleksu: błyskawicznie, choć bez przygotowania wskoczyliśmy w nowe, na co kilka przykładów poniżej.

#Nie zostawiam czytelnika... najmłodszego

Pod nazwą **Braczytanki**, które można było od marca śledzić na naszych kanałach w mediach społecznościowych, kryją się krótkie nagrania zrealizowane samodzielnie w domu. Pracownicy biblioteki czytają dzieciom klasykę literatury, od Krasickiego i Fredry po Andersena i braci Grimm. W Braczytankach znalazł się też cykl o Wiedźmie Zagnijróg autorstwa Katarzyny Wojtaszak. Perypetie nieco zrzedliwej starszej pani w humorystyczny sposób przybliżyły meandry zasad wypożyczania i traktowania książek. Także w bibliotece, w filiach i Herbaciarni powstawały filmy dla dzieci (i to 4 tygodniowo!). W akcji **Lato Małych Przyrodników** bibliotekarze wykazali się wielką pomysłowością (i odwagą, wielu debiutowało wówczas przed kamerą), oferując wachlarz literackich, manualnych i przyrodniczych działań twórczych. Prezentowano nie tylko książki, ale i różne techniki plastyczne, pomysły na domowe doświadczenia. W czytaniu fragmentów *Tajemniczego ogrodu* włączyli się pracownicy różnych działów Biblioteki, nie tylko tych, które na co dzień pracują z dziećmi i z książką. Nie zabrakło też propozycji dla wielbicieli teatru kamishibai i spotkań muzycznych, przybliżających ciekawostki z życia i podróży Henryka Sienkiewicza.

#Zostań w domu... Hej, za rok matura, za pół roku?

Mimo wątpliwości co do terminu najważniejszego egzaminu w życiu licealisty, pewne było, że kiedyś się odbędzie. Do maturzystów adresowany był cykl wykładów kontynuowany w sieci przez Muzeum Literackie Henryka Sienkiewicza. Zagadnienia na poziomie egzaminacyjnym uzupełniły podcasty **Kanon lektur nieczytanych**, w których K. Wojtaszak omówiła książki wybrane przez młodzież z kanonu jako najbardziej nie lubiane. Zestawienie (będące podstawą wystawy prezentowanej w Bibliotece Raczyńskich i w internecie) przybliżyło lektury z przymrużeniem oka, historycznoliteracki kontekst, na celowniku autorki znalazły się też wady bohaterów czy obyczajowe ciekawostki. Z myślą o młodej publiczności wystartowaliśmy też z nowym



Podcast Biblioteki Raczyńskich

projektem **Mól w sieci**. Jego gośćmi są twórcy internetowi, którzy swoje pasje wyrażają też w postaci tradycyjnych publikacji. Wspólnym mianownikiem spotkań z blogerami jest świat książki i nowych mediów. Okazuje się, że mól książkowy znajdzie coś dla siebie w sieci, a blogosfera może rozbudzić fascynację zagadnieniami znajdującymi pogłębienie w książkach. Wielu odbiorców sięgnie po nie dlatego, że wyszły spod ręki lubianego autora internetowego. Z czytelnikami Biblioteki w formie rozmów online i z możliwością zadawania pytań na żywo spotkali się uczestnicy wypraw ekstremalnych – eksploratorzy miejscy Urbex History i himalaista Rafał Fronia. O sztuce narracji i przekraczaniu własnych granic opowiadała reżyser i trener storytellingu Monika Górńska, a Michał Larek wyjaśniał, skąd w jego twórczości tyle mroku.

#Zostań w domu, seniorze!

Jednym z projektów planowanych w Bibliotece Raczyńskich na rok 2020 była **Biblioteka dla seniora**. Podobnie jak **Mól w sieci**, projekt realizowany jest dzięki dotacji Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Warto dodać, że moment ogłoszenia stanu epidemii i zmian w prowadzeniu działalności zbiegł się z oczekiwaniem na wyniki naboru do programów ministerialnych. Plany należało dostosować nie tylko do faktycznie przyznanych dotacji, ale i do wielkiej niewiadomej, czyli prognozowanych możliwości organizacji spotkań w niedalekiej przyszłości. Sporo udało się przewidzieć i zrealizować.

W ramach **Biblioteki dla seniora** od sierpnia zaprosiliśmy na koncerty i wykłady online. Niedawno swą premierę w sieci miała skrócona na potrzeby transmisji internetowej adaptacja spektaklu *Jeremi. Mężczyzna piosenny*. Aktorki z asz.teatru wykonały liryczny i nieoczywisty wybór piosenek Przybory i Wadowskiego. Szlagiery z okresu międzywojennego (choć nie tylko) zaśpiewał chór Poznańskich Senioritek, którym frazy dośpiewywał, akompaniując na kontrabasie, Tomasz Grdeń. Ta płodna artystycznie epoka wróciła też w prelekcji Joanny Maleszyńskiej o roli piosenki w przedwojennej komedii. W grudniu zapraszamy na koncert ballad Jacka Kowalskiego, inspirowanych Sarmacją i okraszonych staropolszczyzną. Autorowi towarzyszyć będzie lutnista Henryk Kasperczak.

#Kultura w sieci

Iłakowiczówna, Sienkiewicz, Kraszewski, różne epoki, wielkie osobowości. Literackie dorobki, osobiste pamiętki i tajemnice skrywają w swych wnętrzach trzy muzea znajdujące się w strukturze Biblioteki. Zamknięte dla zwiedzających placówki w ramach projektu **Muzea Biblioteki Raczyńskich online** przygotowały prezentacje przybliżające bogactwo zbiorów i barwność życiorysów. Wielcy pisarze nie patrzą tu na nas z wyżyn cokołów,

ich literackie *universum* poznajemy przez pryzmat podróży czy towarzyskich relacji.

W dofinansowanym przez Narodowe Centrum Kultury cyklu internetowych wykładów znalazły się „podróże zastępcze” – z Włoch na Kresy. Wiesław Ratajczak sięgnął po zapis włoskiego pejzażu, dzieł sztuki, obyczajów w *Kartkach z podróży* Józefa Ignacego Kraszewskiego. Dwa spojrzenia na narodziny cywilizacji chrześcijańskiej dało zestawienie powieści *Rzym za Nerona* Kraszewskiego i *Quo vadis* Sienkiewicza. Geograficzne i literackie odniesienia miały prelekcje Katarzyny Węglickiej poświęcone pisarzom związanym z Kresami Wschodnimi. Inspirujące okazało się też otoczenie Kraszewskiego, w którym znalazła się Dionizja Poniatowska. O zapomnianej dziś pisarce i filantropce opowiadała Elżbieta Nowicka.

Co to były „kwowadiski” i „potopówki”, w ilu wątkach powieściowych Henryk Sienkiewicz wykorzystał swe miłosne perypetie i czy chciał wywołać obyczajowy skandal, mogliśmy dowiedzieć się z oprowadzań online po wystawie *Trójkąty miłosne u Sienkiewicza*. Bohaterowie z kart kojarzonych z ogniem i mieczem okazali się też inspiracją do warsztatów na temat historii ubioru. Tym razem spojrzano nie tylko na barwne postaci, ale i barwne szaty. Podczas warsztatów online dla dzieci pokazaliśmy, jak przez wieki zmieniała się moda, można też było spróbować swych sił w projektowaniu. Do aktywności zachęcały również warsztaty muzyczne inspirowane podróżami noblisty. O dużym poczuciu humoru autora świadczy zaś jednoaktówka *Zagłoba swatem* w reżyserii Anny Szymczak i wykonaniu aktorów asz.teatru.

Gdzie w Poznaniu znajduje się dzbanek Mickiewicza, jak wyglądały kulisy pracy u boku marszałka Piłsudskiego i dlaczego Kazimiera Iłakowiczówna miała nieprzyjemności po wydaniu *Ścieżki obok drogi*? Na te i inne pytania odpowiedzi niosły prezentacje przygotowane w pokoju przy ulicy Gajowej, w którym poetka mieszkała 35 lat. Na zakończenie zaprosiliśmy na wirtualny spacer po mieście przez pryzmat wspomnień Iłły próbując ustalić, czy ulice, parki, ważne dla niej adresy budziły cię sympatii, czy też już zawsze czuła się jak „w Poznaniu na wygnaniu”.

#Kultura na wynos: audiobooki, podcasty, wystawy

W czym wybierać mają także fani kryminałów, bo przygotowując audiobooki i podcasty sięgnęliśmy po klasykę gatunku. W formie audiobooków znajdziecie na kanałach Biblioteki opowiadania z serii przygód Sherlocka Holmesa. **Klasyki kryminału** to z kolei przegląd najważniejszych twórców literatury z dreszczykiem od Edgara Allana Poea przez Agatę Christie po rodzime podwórkowe reprezentowane przez Joannę Chmielewską i Joe Alexa. Inne ujęcie, bo skupione na najbardziej krwawych bohaterach przedstawia **Literacki kanon zbrodniarzy**. Medea, Makbet, Balladyna, Raskolnikow to tylko kilka postaci z tego makabrycznego katalogu. Można się z nim cały czas zapoznać w formie podcastu oraz prezentacji w **Wirtualnej Galerii Atanazego** na stronie Biblioteki Raczyńskich. Warto tu także zajrzeć na wystawy: *20/10 Spotkania z Arcydziełem* prezentujące najcenniejsze zabytki w zbiorach, *Na poznańską mod(ł)ę. W XIX-wiecznej garderobie*, „*Dziennik podróży do Turcji*” E. hr. Raczyńskiego. Ich dostępność online to nie lada gratka dla miłośników grafiki, gdyż powstały w oparciu o zbiory specjalne Biblioteki Raczyńskich na co dzień niedostępne, a opatrzone zachwycającymi rycinami. Część podcastów i filmów poświęciliśmy instruktażom, jak korzystać z bogactwa biblioteki, skąd wiedzieć, co czytać i jak czytać dzieciom z pomysłem. Nie mogło zabraknąć promowania czytelnictwa w postaci nagrań znanych w Poznaniu osób z okazji Światowego Dnia Książki i Praw Autorskich czy Dnia Poezji.



#Czytaj na zdrowie

Frazę „śmiech to zdrowie” zna każdy, ale nie każdy wie, że minuta śmiechu daje takie efekty jak sesja relaksacyjna. W sytuacji podwyższonego stresu postanowiliśmy nie tylko czytać, ale też uśmiechać się – na zdrowie! Wpuściliśmy więc w nasze media społecznościowe trochę humoru, nagrywając teledysk w ramach #Hot16Challenge oraz słuchowisko *Czarny pies u Raczyńskich*. W podcastach i filmach spojrzeliśmy na naszą instytucję z przymrużeniem oka i od kuchni opowiadając, kogo nie widać w bibliotece i co się dzieje między regałami w nocy.

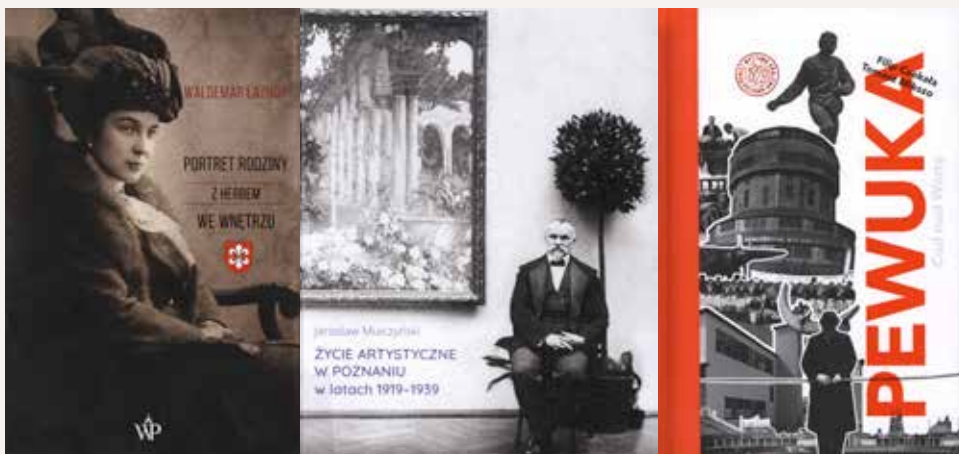
Podcasty, audiobooki, filmy i prelekcje znajdziecie w mediach społecznościowych Biblioteki Raczyńskich, takich jak Fanpage na Facebooku (biblioteczny i muzealny), YouTube, Instagram, Spotify, Soundcloud. Wszystkie te formy kontaktu z czytelnikiem, popularyzowania literatury, proponowania aktywności dzieciom dają mnóstwo radości tworzenia, jeszcze więcej satysfakcji z pozytywnego odbioru, dają w końcu obraz całkiem pracowitego lockdownu. Nasuwa się pytanie, czy można było robić tak już wcześniej? Na taką skalę, jaką wymusiło zawieszenie działalności, pewnie trudno byłoby kontynuować atrakcyjną ofertę kulturalną online z równoległym nadążaniem za kalendarium spotkań w realu. Wiele wskazuje na to, że pandemia i związane z nią ograniczenia dadzą nam jeszcze sporo czasu, by to rozstrzygnąć.

Możemy cieszyć się z faktu, że po wznowieniu możliwości wypożyczeń i zwrotów książek w drugiej połowie maja, w ciągu dwóch tygodni wypożyczono blisko 22 tysiące zbiorów! Nie da się jednak udawać, że jest jak dawniej. Wyczekujemy dnia, gdy czytelnicy, galerie i korytarze znów zapełnią się czytelnikami. Zanim znów będziemy mogli porozmawiać na żywo, bez skrępowania i ograniczeń, zajrzyjcie na YouTube. Znajdziecie tam nową wersję piosenki *Pejzaż bez ciebie* – to o was.

Podróż w czasie

prof. dr hab. Wiesław Ratajczak
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza

Książki nominowane w konkursie im. Józefa Łukaszewicza składają się – jak co roku – na kolekcję ukazującą Poznań w różnych jego wymiarach, barwach i dźwiękach. Spójrzmy na miasto, odbywając podróż w czasie.



Książki nagrodzone w konkursie „Posnaniana 2019”.

Początek tym razem nie jest odległy. W poprzednich latach, między innymi z powodów rocznicowych, sięgaliśmy głęboko w przeszłość, aż do początków Polski. W tym roku jest inaczej, najodleglejszym przystankiem jest nasz ulubiony wiek XIX. A oprowadza po nim dyplomata, kolekcjoner i historyk sztuki, słowem, człowiek wybitny – i wybitnie irytujący, z ego wielkości jego Palais Raczyński w centrum Berlina. Hrabia Atanazy Raczyński pozostawił *Dziennik* – niezrównaną panoramę życia polskich i pruskich elit arystokratycznych. Znakomity stylist, złośliwy komentator, a przy tym – co tu dużo mówić – okropny plotkarz. Czy potrzebuje Raczyński lepszych referencji?

Świat poznańskich (i europejskich) elit opuszczamy, by wejść w środowisko nieco podejrzone. A dzieje się to dzięki Krzysztofowi Kurkowi, autorowi książki *Teatr poznański w podróży (1870–1900)*. W niej znajdujemy marszrutę poznańskich aktorów i innych twórców sceny, którzy – z banalnej potrzeby zarabiania na chleb i realizując mniej banalną potrzebę służby polskiemu słowu – wyruszają z miasta na (nie tylko) wielkopolską prowincję. Z innego (nie arystokratycznego i nie artystycznego) społecznego świata pochodzi bohater powieści Macieja Bukowskiego *Zmartwychwstanie*. Niby wszyscy znamy Franciszka Ratajczaka, ale przecież pewnych o nim informacji jest bardzo niewiele. Z tego, co jest przyczyną bólu głowy historyka, cieszyć się może beletrysta. A czytelnik myśli: „Tak mogło być”, poznając opowieść o chłopaku, który gdzieś w niemieckim górniczym mieście zakochuje się w nierealnej Polsce i całkiem realnej dziewczynie, a jednocześnie sprostać musi nieoczekiwanym obowiązkom, gdy zostaje jedynym, niezgrabnym opiekunem swojej młodszej siostry. Również jego – jak miliony młodych Europejczyków – wciągnął wir wojny światowej. I wyrzucił niedaleko od gmachu Biblioteki Raczyńskich.

Po tytułowym dla powieści Bukowskiego zmartwychwstaniu rozpoczyna się drugie życie Rzeczypospolitej. O nim dowiadujemy się z książek-finalistek wiele i jest to spojrzenie z różnych perspektyw. Najpierw poznajemy świat oficjalno-prywatny, czyli działalność Jarogniewa Drwęskiego, pierwszego prezydenta Poznania, i życie jego rodziny. Książka Waldemara Łazugi *Portret rodziny z herbem we wnętrzu* powstała ze zmieszania dwóch pierwiastków: naukowej erudycji i prywatnej przyjaźni. Z efektów tej reakcji korzysta czytelnik, łącząc podczas lektury przyjemne z pożytecznym. Początek niepodległości wiązał się z tworzeniem fundamentów uniwersytetu, także w wymiarze dosłownym – adaptowania budynków na potrzeby uczelni, a później także wznoszenia nowych. Książka Macieja Michalskiego *Miejsce Uniwersytetu* przekonuje,

że – poza wymiarem najważniejszym: poznawaniem prawdy i wypracowywaniem idei – uczelnia wypełnia miasto, współtworzy jego tkankę także poprzez gmachy. Miasto stworzyło uniwersytet, uniwersytet tworzy miasto.

Chętnie godzimy się z opinią o Poznaniu jako centrum życia gospodarczego, pytani o kulturę bywamy zawstydzeni. Remedium na kompleksy – przynajmniej w wymiarze historycznym – przynosi tom Jarosława Mulczyńskiego *Życie artystyczne w Poznaniu w latach 1919–1939*. Tak – Poznań był (jest?) miastem, w którym powstawały wybitne dzieła sztuki, w którym działało nadzwyczajne środowisko artystyczne. Książka Mulczyńskiego wypełniona jest dowodami tych tez.

Na półmetku II Rzeczypospolita pokazała swój rozmach, geniusz ekonomiczny i kulturalny – stało się to podczas Powszechnej Wystawy Krajowej. Filip Czekała i Tomasz Mikszo nazywają ją *Cudem nad Wartą*. Czy analogia z bitwą warszawską to przesada lub bluźnierstwo? Nie sądzę. Lektura książki dwóch autorów pozwala uznać za cudowne to, co w ciągu dziesięciu lat, po zaborach i wyniszczających wojnach, stało się z trzema niepasującymi do siebie kawałkami państwa, jak się zrosły i wzrosły.

Od czasów pruskich do Dwudziestolecia nasze miasto było niezwykle ważnym ośrodkiem wojskowym. Ślad tego (choć często zatarty) stara się odnaleźć Jarosław Bączyk w książce *Krzyż dla generała*. Jej bohaterami są Niemcy, Polacy, Ukraińcy, Rosjanie i sowieccy generałowie spoczywający na poznańskiej Cytadeli. Autor ocalił kilka życiorysów, odkrył nieznaną rys miasta sprzed lat. Powojenny Poznań tym razem przedstawiany jest w książkach o dwóch wybitnych kapłanach. Pierwszym z nich jest Sługa Boży Aleksander Woźny, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych i wieloletni proboszcz parafii św. Jana Kantego. O nim serię książek opracował ks. Wojciech Mueller, przybliżając piękną osobowość, ale także fragment poznańskiego, społecznego życia. Fragment może nieefektywny, ale w długim trwaniu – najważniejszy.

A ks. Florian Kniotek? Kto dziś o nim pamięta, kto zna jego historię? Był duszpasterzem, człowiekiem kultury, ale też walczył o wolność, stał się emisariuszem przemycającym wolną literaturę z Paryża do Poznania. Wielu takich wojowników nie było, więc tym staranniejszą „opieką” został otoczony przez bezpieczeństwo, jej funkcjonariuszy i tajnych współpracowników. Ten – heroiczny i zdradziecki – wymiar Poznania poznać możemy w powieści Piotra Świątkowskiego *Sprawa Floriana Kniotki*.

Czy ktoś jeszcze twierdzi, że Poznań to nudne miasto? Jeśli tak, to za karę niech przeczyta te dziesięć książek. I szybko się przekonana, jak kara zmienia się w nagrodę.

Winieta. Pismo Biblioteki Raczyńskich

Wydawca: Biblioteka Raczyńskich, plac Wolności 19, 61-739 Poznań
www.bracz.edu.pl; e-mail: winieta@bracz.edu.pl; tel.: 61 855-12-44

Redaktor naczelna: Anna Gruszecka

Redaguje kolegium, przew. dr Alicja Przybyszewska

Projekt graficzny: Mirosława Korbańska

Druk: Sors Sp. z o.o. Nakład: 800 egz.



Biblioteka
Raczyńskich

POZnań*